Rok I. We Lwowie. Dnia 10. Czerwca 1894. Nr. 11.

SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:			Prenumerata z przesyłką:		
rocznie	12 koron	(6 złr. — ct.)	rocznie	13 koron — ct.	(6 złr. 50 ct.)
półrocznie	6 „	(3 „ — „)	półrocznie . . .	6 „ 30 „	(3 „ 30 „)
kwartalnie	3 „	(1 „ 50 „)	kwartalnie . .	3 „ 15 „	(1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

Z parlamentu wiedeńskiego.

III.

Skończyła się znowu jedna sesya parlamentarna. Do poprzednich szkiców o niej nic niemal nie mamy do dodania, ostatnie dni sesyi bowiem żadnego prawie dorobku nie przyniosły, przeciwnie usposobiły tylko pessymistyczniej.

Trwożliwe oglądanie się na rząd i jego życzenia, obawa o losy koalicyi spowodowały, że nasi posłowie w żadnej sprawie nie zajęli stanowiska śmiałego i stanowczego.

Jedyna sprawa, której podniesienie w toku sesyi zapowiadało zwrot ku lepszemu, sprawa szląska, na krzyk rozgniewanych Niemców została w milczeniu pogrzebaną. Po rozprawie w komisyi budżetowej, wystąpił, jak wiadomo, ks. Kopyciński z formalnym wnioskiem nadzwyczajnie oględnym, ale mogącym doprowadzić w przyszłości do ukrócenia hegemonii niemieckiej na Szląsku i do powetowania przynajmniej w części krzywd ludności polskiej. Samo poruszenie tej sprawy po tyluletniem milczeniu usposobiło opinię publiczną u nas jak najkorzystniej dla Koła polskiego. Tymczasem posłowie niemieccy ze Szląska już na pierwsze wystąpienie naszych reprezentantów w komisyi budżetowej zapowiedzieli bezwzględny opór przeciw żądaniom jakiejkolwiek zmiany w stosunkach istniejących na Szląsku, a po wniosku ks. Kopycińskiego klub lewicy polecił swojemu prezydyum, aby wniosło zażalenie w prezydyum koła polskiego z powodu wniosku p. Kopycińskiego.

Na ten krzyk i hałas ze strony niemieckiej, na ten terroryzm i rozmaite straszaki nie wyszła żadna odpowiedź z koła polskiego, któraby uspokoiła zaniepokojoną u nas opinię publiczną, a zarazem któraby odpowiadała godności naszej reprezentacyi parlamentarnej.

Nie chcemy dociekać tajników tej wyższej, dla zwykłych śmiertelników niedostępnej polityki, stwierdzamy tylko stan faktyczny, który musi budzić niepokój zarówno o losy sprawy, jak i o godność i wpływy koła polskiego

Co do reformy wyborczej nie łudziliśmy się ani na chwilę, aby koło polskie starało się ją przyspieszyć. Dziwne jednak stanowisko zajął rząd w tej sprawie. Chciałby postępować po rycersku, oświadczył gotowość do reformy, przedłożył nawet koalicyi zasady kierujące, a gdy na ostatniem posiedzeniu Lueger i Gessmann przedstawili naglący wniosek, aby projekt reformy był przedłożony na pierwszem posiedzeniu najbliższej sesyi, to znaczy za p ó ł r o k u, rząd sprzeciwił się temu. Oczywista, że koalicya wniosek Luegera odrzuciła.

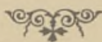
A więc?! A więc, chyba, jak to mówią, nie będzie z tej mąki chleba.

Ze smutkiem więc kończyć trzeba bilans ostatniej sessyi. Nie zdobyliśmy nic, prócz chyba arcyskromnej *lex Rutowski* w spra-

wach prasowych. Stanowisko posłów polskich w sprawie szląskiej, reformy wyborczej, zajść w Falkenau i Ostrawie, nie znamionuje chyba żadnego zwrotu w kierunku dla nas pożądanym, ani też nie zapowiada wzrostu znaczenia i powagi koła polskiego i odporności tegoż wobec nacisku rządu i lewicy niemieckiej. Głosowanie zaś nawet przeciw zniesieniu stempla dziennikarskiego — co chyba nie ważyło na szali losów koalicyi — świadczy o takiej potulności, i niezrozumieniu potrzeb społecznych tudzież najpierwszych zasad postępu, że wobec tego ustaje możność a nawet chęć krytyki.

Czegoż więc mamy się spodziewać nadal, zwłaszcza, że prezydent izby deputowanych, br. Chlumetzky, przy zamknięciu sessyi był najzupełniej zadowolniony z »obfitych» rezultatów takiej pracy parlamentu? Sądzimy, że jesień nie przyniesie nam żadnej zmiany, lecz usłyszymy starą piosnkę t. j. rozprawę budżetową *da capo* i... no i rezolucye: wzywa się rząd i t. d. Na razie cieszmy się, że są komisye nieustające dla reformy podatkowej i nareszcie dla zmiany postępowania sadowego. Te pracują, a prezydent izby zapowiedział, że reforma kodeksu karnego przyjdzie na porządek dzienny jesiennej sesyi i że następnie przyjdzie kolej i na inne reformy.

P. Chlumecky wyraził nadzieję, że komisya prawnicza nabierze »odwagi» do zajęcia się reformą procedury cywilnej. My również wyrażamy nadzieję, że przyjdzie czas, w którym posłowie nabiorą odwagi, ażeby nietylko uchwalać budżet przedłożony przez rząd, lecz także stanowić istotny parlament, nie jako czynnik podrzędny lecz współrzędny. Ale — to nie nastąpi tej jesieni.



PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Bożek Interes. — Militaryzm i syn jego. — Bilans Rady państwa. — Przesilenie w Węgrzech i węgierska sprawiedliwość. — Wnuczęta Czarnego Jura. — Koburska wdzięczność i burbońska predestynacya. — Czy Stambułow będzie obywatelem. — Francuskie interesa, interesiki i ostatnia Turpinada.

Kiedyś — przeszło zaledwie jedno ludzkie pokolenie a zdaje się, że tak dawno! — panowały jakieś ideały, nawet w polityce: prawo wrodzone, wieczna sprawiedliwość, samorząd, oswobodzenie, wolność myśli, uwłaszczenie, samoobrona narodu, rozmaite hasła dzisiaj już prawie zapomniane — spodziewamy się, że tylko czasowo. I starano się je urzeczywistnić i spotkano się z gorzkimi zawodami, bo źle się do pracy wzięto. Więc zakrzyczano je wszędzie i odnowiono inne godło, dawno przeklęte przez jednego z najwięcej znanych idealistów, niejakiego Adama Mickiewicza, godło — *interes*. Interes zapanował wszędzie pod nazwą pracy organicznej, przyczyn ekonomicznych, ewolucyi, walki o byt — i dziś się wyłącznie jego płodami karmimy Nie powiemy, żeby te płody należały do nader smacznych. Naprzód militaryzm — bo gdzie panuje interes a żadnego prawa nie ma, tam tylko siła rozstrzygnąć może; potem jego kochany syneczek, anarchizm — bo dla czegoż bomby mają być wyłącznym przywilejem mundurów, kontrybucye ściągane jedynie przez Bismarka, a ustroje społeczne wywrócone tylko przez koronowane głowy i kasty uprzywilejowane? Interes wymaga bombardowania miast, więc może też wymagać bombardowania kawiarni. Resztki dawnych idealistycznych przesądów, np. konstytucye, lecą z drzew narodowych jak zgniłe jabłka, a ci którzy się podszywają pod najbardziej idealistyczne, utopiczne hasła, np. socyaliści, umieją tylko żądać pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy — to jest podwyższenia płacy, droższej ceny za godzinę (skrócenia dnia roboczego) i wstępu do ciał prawodawczych, to jest udziału w szafowaniu podatkami, mniejsza o to w imię czyje, przez kogo, jak i skąd dobytymi.

Te idealistyczne uwagi zostały nam natchnione przez ostatnie europejskie wypadki, które należą do nader ważnych, a w których jednak niczego nigdzie dopatrzyć się nie można oprócz walki interesów; ideału ani za grosz. Najbliżej, w Wiedniu, Rada państwa rozjechała się, zostawiając po sobie pamięć zupełnie bezpłodnej, że tak powiemy *hamulcon'ej* sesyi, w której, niestety! główną rolę odegrało nasze koło polskie, a podczas której starano się jedynie wszystko odesłać *ad acta*, co jest godziwem, sprawiedliwem, praktycznem, ale co się interesom pewnej garstki posiadaczy sprzeciwia. I tak liberałowie dla szlachty naszej poświęcili wolność prasy, szlachta nasza dla Niemców

Szląsk, Czechy, Ostrawskich górników, razem wszyscy zadusili w zarodku reformę wyborczą — i stało się zadość wszelkim wymaganiom. Opozycya zaś przeciwkoalicyjna, mianowicie Młodoczesi dali nam jeszcze jaskrawszy przykład ciągłego interesochwalstwa, bo kadzenia niby — demokratów najczystszemu, carskiemu absolutyzmowi, i obrzucenia błotem kościuszkowskich, słowiańskich ideałów gwoli niemieckiej petersburskiej dynastyi. Vivat interes!

Trochę dalej, w Peszcie, magnaci odrzucili śluby cywilne, a minister Wekerle podał się do dymisyi, nie znalazłszy innego lekarstwa, prócz gwałtownego przerobienia Izby wyższej przez mianowanie nowych członków, przychylnych jego projektowi; praktykowało się to prawda kiedyś w Anglii, ale każdy uczciwy człowiek musi przyznać, że taki środeczek wcale się z ideałem sprawiedliwości nie zgadza. Przesilenie, które ztąd wynikło, należy do bardzo poważnych. Interesa katolickiego duchowieństwa, które to starcie wywołały, mogą być nader cenne, ale nawet w tym interesochwalczym wieku trzeba by zwrócić uwagę na to, że nie mogą one być wyłącznie uwzględnione w Węgrzech, gdzie liczą ogromny procent akatolików, gdzie panująca narodowość, madiarska, wyznaje w większości ewangelicką wiarę. Projekt Wekerlego wcale kościelnych ślubów nie dotyka, a tylko nie pozwala duchowieństwu zakładać *veto* na takie kojarzenia, które mu się nie podobają: cóż może być sprawiedliwszego? To też przeciwnicy ślubów cywilnych, sztucznie zwyciężywszy przy pomocy magnackiej ruchawki, osiedli na lodzie, i nawet wezwany przez koronę ban horwacki, hr. Khuen-Hedervary, żadnego gabinetu utworzyć nie może. Jakie zaś wzburzenie w kraju panuje, w tej tak przeklętej przez *Czas* i *Przegląd* »ulicy«, łatwo sobie wyobrazić można.

Nie powinni jednak Węgrzy sarkać, bo sami w oburzający sposób pomiatają wszelką sprawiedliwością dla swoich, bardzo wątpliwych interesów. Właśnie teraz dali nam jaskrawy przykład takiego bezprawia w koloszwarskim rumuńskim procesie. Odmawiano podsądnym obrony, kazano im mówić niezrozumiałym językiem (zupełnie jak u młodoczeskich sprzymierzeńców Moskali, z tą różnicą, że Polak może przecież po moskiewsku rozumieć, a zje biesa jakikolwiek europejczyk nim pojmie madiarszczyznę) — jednem słowem urągano wszelkiemu prawu i zamknięto nareszcie biednych Rumunów do więzienia na kilka lat za to tylko, że bronili swojej narodowości w przeważnie rumuńskim Siedmiogrodzie! Nie daleko zajdą rodacy Koszuta na takiej niemieckiej drodze.

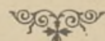
Jużeśmy w przeszłym numerze *Słowa* pisali o tem, co narobiły w biednej Serbii interesa zbankrutowanego Milana i jego odeskiej małżonki i do jakich krwawych rezultatów doprowadzić mogą, osobliwie dla biednego ich synka, króla Aleksandra. Boć zaraz wyrośli pretendenci, Karogeorgiewicze, których interesa wymagają teraz porządnej wojny domowej — w obronie, ma się rozumieć, konstytucyi, chociaż ich przodek był najzawziętszym jej wrogiem i za ciągłe jej gwałcenie tron stracił. Nie wiadomo tylko jaki pretendent ma najwięcej szans, czy ks. Piotr z Petersburgu, czy ks Arsen w Czarnogórze, czy ks. Aleksy — już nie wiemy gdzie. Ale taka »walka o byt« jest niczem w porównaniu z tem, co się stało w sąsiedniej Bułgaryi, i z czego może się czytelnik przekonać, że interes, nawet organiczny, może nie mieć nic wspólnego z korzyścią a nawet z prostym zdrowym zmysłem — nie mówiąc już o wdzięczności.

Czyż dawno energiczny obrońca bułgarskiej niepodległości, zwycięzca Ignatjewych i Chytrowych, Stambułow utrwalił, jak mu się zdawało, byt swojego narodu wprowadzeniem Koburskiej dynastyi? Czyż dawno pogardził nawet, może zbyt lekkomyślnie, religijnymi uczuciami prawosławnej ludności, zapewniając nowemu księciu katolickie przywileje i katolicką małżonkę? A Jego książęca mość Ferdynand — mówią, że pod wpływem Jej książęcej Mości, w której zagrała nieszczęśliwa burbońska krew, skazana od wieków na detronizacyę, — już się swojemu dobrodziejowi odwdzięczył najzwyczajniejszą dymisyą. Wpłynęły tu może rozmaite *winki*, które się dostały, dzięki nowym przymierzom, z Petersburga przez Berlin i Wiedeń do Sofii, ale Jego Wysokość działa podług nas zupełnie jak owo zwierzę w bajce, które rwało korzenie drzewa, skąd mu żołędzie spadały. Nie myślimy bronić zbyt despotycznego czasem postępowania Stambułowa, ale nader trudne położenie jego maleńkiej ojczyzny w obec tak potężnego wroga jak Rosya, mogło je poniekąd usprawiedliwić. Nie Ferdynandowi jednak

należało go za to ukarać. Niewiemy o ile prawdziwe są oznaki zadowolenia, z którymi część Bułgarów powitała upadek byłego dyktatora, można jednak przypuścić, że tam gdzie było pełno spisków i zamachów przeciw temu samemu Koburgowi, musi istnieć nader silne stronnictwo, które się teraz cieszy z upadku twórcy i głównego obrońcy nowej dynastyi. Jaki tam był interes, tego nie wiemy, ale pewno ani korzystny, ani rozumny. Być może. że się znajdzie jakiś minister, który potrafi dalej prowadzić zaczęte przez Stambułowa dzieło, ale ani Stoiłow, ani inni jego koledzy w nowem bułgarskiem ministerstwie nie dali dotychczas dowodów takiego uzdolnienia, a sam książę także się więcej odznaczał podróżami po rady do Wiednia, niż energicznem postępowaniem. Szkoda, wielka szkoda by była, gdyby bułgarska sprawa weszła na nowe tory, niebezpieczne nie tylko dla niej, ale dla całej Europy. Spodziewamy się, że sam Stambułow, choć się przekonał, że »łaska pańska na pstrym koniu jeździ«, poświęci osobistą urazę pożytkowi Ojczyzny, bo inaczej źle, bardzo źle może być z bułgarskimi Koburgami i następca w pieluchach może się wkrótce wychowywać bardzo daleko od Bałkanów, — daj Boże żeby nie nad Wołgą

Włoski minister Crispi ustępuje także z widowni. Nie wiadomo jeszcze co nastąpi, ale zanotować musimy zajawienie byłego radykała i Garybaldczyka, teraz najwierniejszego ministra Monarchii, *że budżet może być uchwalony, pomimo przesilenia, bo do zakresu władzy parlamentu nie należy.* Taki pewnik dawno przyjęty w Austro-Węgrzech i dla nas nie nowy, ale wyobrażamy sobie, jak się musieli przewrócić w grobach swoich twórcy parlamentaryzmu. I czyż nie słusznie mówiliśmy, że wszędzie konstytucye lecą do kaduka? Najpierwszy przywilej każdego wolnego obywatela, ten z powodu którego utworzył się w Anglii parlament, którego zgwałcenie przypłacił Karol I śmiercią na rusztowaniu a jego dynastya wygnaniem, ten, przy którym Polska stała górą do ostatniego rozbioru, uchwalenie podatku na wspólne wydatki, — ten przywilej rzuca się do kosza prawie bez protestacyi i monarchia konstytucyjna przerabia od razu na państwo despotyczne! Ale tego wymaga przecież *interes* — urzędników i bankierów.

Moglibyśmy jeszcze pisać o innych przesileniach, np. we Francyi, ale wolimy milczeć o interesach tamtejszych stronnictw, bo taki Dupuy albo Constans tak często zmieniają kokardę, że wcale nie wiadomo. jaki z tych interesów chwilowo przedstawiają; taka już francuzka moda! A gabinetów bywa co roku po kilka, więc można powiedzieć, że takie przesilenie jest tam rzeczą zupełnie normalną. Najlepszy dowód tego, że paryzkiego położenia rzeczy nawet sam Arystoteles nie zrozumie, to że z upadku Periera i nowego kierunku Dupuy'ego tryumfują najrozmaitsze partye, wręcz sobą przeciwne, — proszę potem zgadnąć, kto ma słuszność? Boć kto chce sprawy ludzkie prowadzić podług interesów, nie podług prawa, jest zupełnie podobny do matematyka, któryby chciał się obejść bez tablicy Pitagorasa; a pan prezydent Carnot, choć sławny inżynier, ma z tego powodu tyle kłopotów z ostatnią sprawą oszusta Turpina, który wynalazł — i nie wynalazł, — jakiś melint, sprzedał — i niesprzedał — Niemcom jakąś nową kartaczownicę, »zmiatającą w sekundzie wszystko w promieniu dwunastokilometrowym«, który zdradził — i nie zdradził — Francyę, a przy pomocy dziennikarskich reklam i krzyków przymusił rząd francuzki do kapitulacyi i do zapłaty, — że wcale nie zazdrościmy głównemu rządcy tego szczęśliwego kraju, gdzie wynaleziono owo nowe, kulturowe bóstwo, bóstwo XIX. wieku, »interes.«



SPRAWY POLSKIE.

Szkice z wystawy krajowej.

I. Wrażenia ogólne.

W trudnem położeniu znajduje się redakcya *Słowa Polskiego* chcąc dać jakie takie sprawozdanie z wystawy krajowej. Pisma codzienne piszą na wyścigi o najdrobniejszych szczegółach, odnoszących się do wystawy, tak, że przeciętny czytelnik może dostać zawrotu głowy na widok kaskady szumiących słów, spadających nań każdego dnia i o każdej porze. Wszystko przedstawione, odbite, opisane, odfoto- i odfono-grafowane. Widziałeś już postacie prezesów i dyrektorów, widoki pawilonów i gmachów, słyszałeś powitania i odpowiedzi polskie, ru

skie i niemieckie, ba nawet polsko-amerykańskie, węgierskie i czeskie echa doleciały do ciebie, a wreszcie zjadłszy paradne śniadanie u Gerarda i uczciwy polski obiad u Baczyńskiego, syt szczęścia i sławy chciałbyś sobie odpocząć po tem wszystkiem.

Cóż tedy nowego przyniesie pismo wychodzące co dwa tygodnie, a zatem z natury rzeczy nie mogące podać wiadomości najświeższych? Czy ma powtarzać ogólnikowe zachwyty, czy też odgrzewać rzeczy już napisane gdzieindziej?

Zdaje się, że ani jedno ani drugie nie zajęłoby czytelników, ani też nie odpowiedziałoby stanowisku, jakie *Słowo Polskie* wśród prasy narodowej zajmuje. Dla tego też pragniemy nie krępować się zbytnio ani z góry powziętym planem, ani też nie przyjmujemy stanowczej formy, w jakiej będziemy kreślili wrażenia z wystawy.

Nie idzie nam o fotografowanie najdrobniejszych szczegółów, lecz o ogarnięcie okiem całokształtu wystawy, jej zalet i wad jako całosci, a następnie o zbadanie sumy dorobku narodowego, jaki nam wystawa przynosi Powiedzieliśmy z góry: o zbadanie »jej zalet i wad« — nie bez głębszej myśli. Prasa nasza codzienna zajęła wobec wystawy stanowisko charakterystyczne. Jeden jej odłam, na szczęście — bardzo nieliczny, bądź to milczał pogardliwie, bądź też lekceważył całą tę pracę. Wszystkie inne pisma z niezwykłą jednomyślnością popierały dzieło narodowe i usiłowały, może po raz pierwszy, na sposób zagraniczny reklamą nieustanną dopomódz do powodzenia wystawy.

Ta jednomyślność i ta reklama zasługują na stanowczą pochwałę i uznanie. Bez jednomyślności nie byłoby otuchy i wiary w możliwość wykonania, nie byłoby powodzenia w pracy samej; reklama dla dzieła, na takie rozmiary podjętego, jest konieczną w stosunkach nowoczesnych.

Lecz dalszy ton tej reklamy nie był i nie jest wcale ani potrzebnym ani nawet smacznym. Przesada w każdym kierunku doprowadza do przesytu i niesmaku. Dowiadujemy się raz po raz o nieznanych dotychczas wielkościach, które urastają do rozmiarów gigantycznych, o krok graniczących z karykaturą. Ten ton i ta przesada budzi mimowoli uśpiony pięknością dzieła krytycyzm i może doprowadzić w odwrotnym kierunku do przesady, tak u nas chorobliwej, do pogardliwego lekceważenia swojej pracy, swojego dzieła.

Na szczęście nie jesteśmy w niczem zależni ani od komitetu wystawowego, ani też od poszczególnych arcyprzemożnych jednostek, opiekujących się wystawą; ani też nie zagalopowaliśmy się dotychczas w przesadnych hymnach pochwalnych, z których potem trudno się wycofać, i dla tego możemy pisać o wystawie ze spokojem, bez przesady i bezstronnie.

Otóż najbezstronniej pisząc, należy przyznać otwarcie, że wystawa obecna udała się doskonale.

Nie należy wymagać rzeczy niemożliwych i do wystawy krajowej przykładać skali wymagań takich, jakich można żądać od wystaw światowych. Również trzeba pamiętać, że wystawę lwowską urządza głównie jeden odłam narodu politycznie upośledzonego, a kraj – ekonomicznie biedny, od niedawna dopiero dźwigający się z upadku. W tych warunkach wystawa powinna zastanowić tych, którzy stoją na czele i powinna wskazać im, jakie to niespożyte siły drzemią w głębi, jeżeli po wycieńczeniu i wyssaniu materyalnem, po klęskach elementarnych lat ostatnich takie dzieło udać się może. Coby to się udało, gdyby nie strusia polityka, gdyby naprawdę zbudzono te siły drzemiące i skierowano do pracy właściwej, produkcyjnej, o której wielu u nas nawet słuchać nie chce.

Poza tem dla każdego, nawet bardzo wybrednego Europejczyka, dostarcza wystawa całej sumy wrażeń estetycznych, dzięki otoczeniu w jakiem się znajduje. Plac wystawy wybrany został tak szczęśliwie, że podobno żadna wystawa europejska czegoś równie pięknego nie miała. Wyobrażam sobie, że chyba wystawa w Neapolu lub Konstantynopolu, oparta jednem skrzydłem o brzeg morski i mająca skutkiem tego niezwykłe krajobrazy, same przez się piękne, mogłaby co do piękności terenu i widoków współzawodniczyć z wystawą lwowską. Porównanie to chroma, oczywista, bo teren we Lwowie jest odmiennej natury, ale analogia zdaje mi się chyba istnieje. W każdym razie wystawa na płaskim terenie, jak w Paryżu, Wiedniu, Peszcie itd. co do piękności położenia nie może zupełnie iść w porównanie z lwowską. Ten szczegół rzuca się każdemu w oczy, a dla cudzoziemca wrażenie odniesione z ca-

łokształtu wystawy, skutkiem pięknego położenia i prześlicznych widoków, będzie niewątpliwie korzystne i usposobi w ogóle życzliwie.

Co do samego rozłożenia budynków wystawowych i strony architektonicznej, nie mam' właściwie głosu, nie jestem bowiem fachowcem i na tem się nie znam. O ile mi się zdaje, widoczną jest nierównomierność w wyzyskaniu terenu. Z jednej strony pawilony natłoczone przy głównej ulicy niemal jeden na drugim, a w dalszym planie dział etnograficzny rzucony zupełnie swobodnie, luźno, o zupełnie innym, dla mnie przynajmniej wcale przyjemnym charakterze swojskim, rodzimym Ta druga część odtwarza nasz świat sielski bardzo wiernie. Figura Chrystusa przydróżna, z charakterystycznym kogutem na wierzchu, i ten lirnik pod nią, dalej typowa cerkiewka, budowana bez architektów i rysunków przez samouczków, chata słomą kryta i żóraw i wrota, a nawet te ciemne garczki schnące na kołkach — wszystko to tak wierne, tak szczęśliwie odtworzone i chwyta mile za serce i zaszczyt przynosi kierownictwu wystawy.

Całkiem naturalne, że cała wystawa nie mogła się składać z chat wiejskich rodzimego typu. Szukano innej formy architektonicznej, ale rozwiązano to zadanie — powiedzmy otwarcie — wcale nieszczęśliwie. Na stokilkadziesiąt pawilonów i budynków jest kilka bardzo pięknych, którymi wszyscy stale się zachwycają. Jest także kilka zupełnie przyzwoitych i możliwych zawsze i wszędzie, ale niestety jest też cała paczka budowli wręcz nieestetycznych, brzydkich, rażących dziwacznymi kształtami. Te masy niby wieżyczek i drągów, mających jakoby zdobić cały szereg wysoko uczonych pawilonów, idących, od hali przemysłowej począwszy, rzędem po lewej ręce od głównego wejścia — to urąganie z wszelkich prawideł estetycznych. Oko z przyjemnością spoczywa na obeliskach u wejścia, na czyściutkim pawilonie żywieckim, nie razi go wcle budynek panoramy, z pobłażaniem patrzy na halę przemysłową, zachwyca się budynkiem architektury i sztuki: ale te szkolne i nieszkolne wieżyczki i wiechy na brudnych budynkach o niemożliwej strukturze wprost odpychają. Na szczęście milutki pawilonik w starogermańskim styln (po drugiej stronie drogi), na którym oko spoczęło odwróciwszy się od tamtych szkarad, usposabia nas znowu przychylnie, a olbrzymia flaszka Cognac'u rozśmiesza z kolei — tak, że dotarłszy do działu naftowego, interesującego swą oryginalnością i niezmiernem znaczeniem, zapominamy o poprzednich ujemnych wrażeniach, dział zaś etnograficzny rozbraja nas do reszty.

Ostatecznie przeszedłszy główną ulicę i boczne, nasyciwszy się dodatkowo widokiem i z wodnej wieży i z terasy, siadamy koło fontanny i słuchając pięknych tonów muzyki sumujemy wrażenie ogólne: Lwów może być spokojny o wystawę a twórcy jej mogą być dumni ze swego dzieła. To nie zabawka, to dzieło poważne, godne nie tylko widzenia, ale szczerego poparcia. Usterki stanowczo giną wobec całości, której widok otuchę wzbudza w nas, przekonywując, że nie cofamy się, ani stoimy w miejscu, lecz choć powolnie, idziemy naprzód, a zarazem poucza, czego jeszcze dokonać trzeba i można — byle tylko nie brakło dobrej woli. Ile ona zdziałać potrafi, wystawa najlepiej okazuje. *A. L.*

Polacy a Czesi.

(Głos ze zaboru rosyjskiego).

Z pewnem zdziwieniem przeczytaliśmy w dziennikach rosyjskich powtórzoną z *Narodnich Listów* wiadomość o stowarzyszeniu tajnem w zaborze rosyjskim. »Polacy — pisze organ młodoczeski, nie przebierają w środkach w walce z Rosyą. W kraju nadwiślańskim (?!) istnieje stowarzyszenie tajne, wysyłające do redakcyi dzienników zagranicznych korespondencye pisane w duchu wrogim Rosyi. Z początku ci tajemni korespondenci zapowiadali, że będą bez uprzedzeń informować prasę zagraniczną o ruchu narodowym i żądaniach Polaków. Zgodziliśmy się, aby otrzymywać te korespondencye, ponieważ pragnęliśmy mieć wiadomości z Polski rosyjskiej. Teraz jednak przekonaliśmy się, że wszystkie te korespondencye są najczystszem kłamstwem, które nieraz prostowała nawet polska prasa zagraniczna Widocznie, konkludują *Narodni listy*, stowarzyszenie tajne w Polsce rosyjskiej założone jest w celu wzmacniania nienawiści Polaków do Rosyi«. Skromność »Narodnich listów« nie jest dla nas nowiną, jak również i to, że »w kraju nadwełtawskim« (tak według przyjętej przez p. Gregra i jego przyjaciół terminologii, nazywać się powinny Cze-

chy) są stronnictwa i pisma, mające specyficzne pojęcia o prawdzie, uczciwości i honorze, które znamy ze wschodniego ich pierwowzoru. Nie sądziliśmy jednak, że wzajemność Czesko-rosyjska zachodzi tak daleko. Pochlebianie i wysługiwanie się Rosyi, będące pierwotnie manewrem taktycznym, stało się dziś dla tego odłamu, który *Narodni listy* przedstawiają — jednym z punktów wyznania wiary politycznej. Nie do nas należy dawanie rad i nauk Czechom w sprawie ich polityki narodowej, mamy zresztą nadzieję, pewność prawie, że naród czeski sam już wkrótce oceni należycie moralną i polityczną wartość przedstawicieli tego stronnictwa, które dla względów samolubnych i urojonych korzyści, przeniewierza się swoim własnym zasadom. Czesi sądzą, że mogą bezpiecznie kokietować Rosyę, bo nie mają z nią bezpośredniej styczności i że dopiero po ostatecznej porażce Austryi i Niemiec byliby na to narażeni, ale jeżeli jeszcze nie spostrzegli, to prędko spostrzegą, że tracą sympatye nie tylko u nas, ale i u innych ludów słowiańskich, które, jak Bułgarzy i Serbowie, zrozumiały dobrze lub rozumieć zaczynają, czem jest Rosya dla Słowiańszczyzny i dla samodzielnego rozwoju narodów.

Nie badamy również przyczyny tego dziwnego faktu, że stronnictwo wolnomyślne, postępowe i patryotyczne żywi takie gorące sympatye dla Rosyi, która na każdym kroku gwałci swobodę sumienia, elementarne prawa obywatelskie, która dziś jest warownią i ostatnim przytułkiem w Europie reakcyi politycznej i społecznej i jawnie głosi zasadę wynaradawiania w imię interesów państwowych. Wprawdzie rząd rosyjski w potrzebie umie zjednać sobie sympatye nawet w stronnictwach skrajnych, jak tego dowodzą wykryte niedawno konszachty z radykałami norweskimi i nieprzejednanymi irlandczykami, ale o tego rodzaju sojusz Młodoczechów nie podejrzywamy. Zeszli oni na ten niebezpieczny manowiec w zapale walki i oddalają się coraz bardziej od prostej drogi, grzęzną coraz głębiej pod wpływem rozdrażnienia, które jest następstwem ich niepowodzeń w polityce.

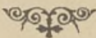
Rozumiemy dobrze ten stan psychiczny polityków młodoczeskich, ale nie możemy puścić płazem nieuczciwości i fałszu, których się *Narodni listy* we wzmiankach co do nas dopuściły. Przyjazny Rosyi dziennik znać powinien na tyle przynajmniej stosunki rosyjskie, żeby wiedzieć iż nazywanie tajnem stowarzyszeniem usiłowań obywateli wszystkich zaborów w celu informowania opinii publicznej — jest poprostu denuncyacyą. Widocznie w obozie młodo-czeskim tak już przejęto się pojęciami rosyjskimi o uczciwości i honorze, że denuncyacya, w dodatku fałszywa, nie uważa się tam za czyn haniebny. Wysyłanie korespondencyi do pism zagranicznych może być wprawdzie w Rosyi przestępstwem politycznem, ale nawet żandarmom rosyjskim nie przychodziło dotychczas do głowy, że zbieranie i komunikowanie dziennikom faktów jest dowodem istnienia spisku. Teraz dopiero politycy nadwełtawscy pouczają swoich słowiańskich braci na Wschodzie, jak należy traktować tego rodzaju sprawy, składając wymowny dowód że Młodo-czesi są nie tylko R e g i e r u n g s ale i P o l i z e i f ä h i g.

Zarzut kłamliwości, zrobiony naszym korespondencyom, jest również nieuczciwym. Dotychczas oprócz wiązki drobnych wiadomości o wypadkach bieżących, opisanych zupełnie objektywnie, zamieściliśmy kilka dłuższych listów, mających charakter ogólny. Listy te zawierały nie wiele nowych faktów, te zaś, które przytoczono, oparte były zwykle na dokumentach urzędowych (np. cyrkularz do duchowieństwa). Żadne pismo polskie podanym w naszych korespondencyach wiadomościom nie zaprzeczało i *Narodni listy* nie przytoczą ani jednego takiego sprostowania. Mogło się komuś niepodobać oświetlenie faktów, mogły się wydać fałszywymi lub nieuzasadnionymi nasze poglądy, ale takich nawet zarzutów nie zdarzyło się nam spotkać w prasie polskiej, której organy, przedstawiające rozmaite odcienia polityczne, z wyjątkiem skrajnie zachowawczych, artykuły nasze zamieszczały.

W pismach czeskich znajdowaliśmy nieraz mniej lub więcej słuszne ubolewania i rekryminacye z powodu stosunku Polaków do Czechów w Austryi. Zapewne obie strony nie są bez winy w tej sprawie, która i dla nas i dla Czechów ma wielką, chociaż niejednakową doniosłość. Trudno jednak rozwodzić się szeroko nad zgodą polsko-czeską, w tej chwili kiedy Czesi chcą narzucić nam nie tylko interesy, ale i sympatye swoje, tembardziej, że sympatye te są nam wstrętne i że lekkomyślne igranie carofilstwem za zgubne dla samych Czechów poczytujemy. A po-

twarz i kłamstwo rozdrażniają tylko wzajemne niezadowolenie, o co widocznie *Narodnym listom* chodzi. Może to dla nich, powtarzając słowa p. Gregra o posłach polskich: »zdrowo, ale nie honorowo«. Chociaż wątpimy, czy tego rodzaju taktyka wyjdzie na zdrowie Czechom, a raczej stronnictwu młodoczeskiemu. I o tem pamiętać by należało, że objawy sympatyi, którą Czechom Polacy galicyjscy okazywali, wywołane były niewątpliwie wpływem opinii publicznej w zaborze rosyjskim. My, zmuszeni do ciągłej i zaciętej walki politycznej, lepiej rozumiemy konieczność pewnych manewrów i pobłażliwiej patrzymy na nieuchronne w takich okolicznościach zboczenia z prostej drogi. My wreszcie z Czechami nie mamy żadnych rachunków, żadnej kolizyi interesów. Ale natomiast boleśniej odczuwamy całą ohydę tego nieprawego związku, którego pp. Waszaty i Consortes są teraz gorliwymi stręczycielami. I sympatye czeskie, tak żywe jeszcze przed kilku laty w społeczeństwie naszem, zacierają się stopniowo pod wpływem słusznego oburzenia na Młodo-czechów, których ogół utożsamia z narodem czeskim.

X. Y.



NAUKA.

SPIRYTYZM.

(Ciąg dalszy).

III.

Wiemy już, jakie jest stanowisko spirytyzmu wobec wiedzy i jakie są jego roszczenia; zbadajmyż teraz, na czem się on w nich opiera, jakiej są natury zjawiska, do których się on odwołuje w swej szumnej zapowiedzi, że jemu dopiero ludzkość będzie zawdzięczać ustalenie nowej ery — powszechnego braterstwa. Podług niego, zjawiska te, zapoznawane przez urzędową wiedzę, która w swem zaślepieniu doktrynerskiem zalicza je do złudzeń i przesądów; niedokładnie pojmowane i tłómaczone fałszywie przez urzędową religię, która w nich widzi objawy złego ducha — stanowią właśnie fakty, których należyte zrozumienie wiedzie do syntezy wiedzy i religii, będącej ostatecznym celem rozumowych dążności i najgłębszych pragnień serca.

Zjawiska spirytystyczne dają się sprowadzić do dwóch grup: zjawisk fizycznych i psychicznych.

Do zjawisk fizycznych należą:

1. Ruchy stołów, ekierek, udzielających odpowiedzi na pytania. Posuwanie się stołów po podłodze i ich unoszenie się w górę.

2. Pukanie — w podłodze, stole, w ścianie itp.

3. Przelatywanie w powietrzu lub powolne przesuwanie się takich sprzętów, jak dzwonki, lichtarze, książki itd.

4. Zjawianie się pisma na tabliczkach.

5. Ślady rąk lub nóg na glinie lub okopconym papierze (na nich daje się odróżnić nawet rysunek skóry palców).

6. Zawiązywanie węzełków, których końce są przypieczętowane, i ich rozwiązywanie bez naruszenia pieczęci.

7. Ruch powietrza, jakby prąd wiatru chłodnego w pokoju.

8. Dotykanie osób, siedzących za stolikiem, przez obce jakieś ciała (ręce, nogi itd.).

9. Zjawienie się w zamkniętych pokojach nowych osób, które raz posiadają cechy eterycznych jestestw, podobnych z postaci do człowieka, lecz zupełnie przejrzystych, drugi raz są istotami ucieleśnionymi, z bijącem sercem, oddechaniem i prowadzącymi rozmowę w miejscowym języku.

10. Pojawienie się nowych przedmiotów, jak np. kwiatów (w zimie), kropel rosy itp.

11. Zmiana ciężaru rozmaitych przedmiotów, nie wyłączając samych medyów, oraz zmiana składu chemicznego ciał, wpływ na igły magnesowe, zjawianie się światełek itp.

Do zjawisk psychicznych należą w ogóle zjawiska telepatyczne, polegające na bezpośredniem oddziaływaniu dusz ludzkich na siebie z pominięciem zmysłów. Takimi są:

1. Halucynacye sprawdzające się, jak np. widzenie osoby oddalonej w chwili jej śmierci.

2. Jasnowidzenie — oglądanie zdarzenia, które zachodzi w odległości przekraczającej doniosłość ludzkiego wzroku.

3. Przeczucie — przepowiedzenie wypadku, który się ma dopiero zdarzyć i do

którego odgadnięcia w danych okolicznościach żadnych nie ma wskazówek.

Zjawiska fizyczne występują tylko w obecności pewnych osób, zwanych medyami, które posiadają jakąś siłę (płyn) dający im władzę nad światem nadziemskim. Nie wszystkie atoli te zjawiska dostępne są każdemu medyum. Każde z nich ma swą specyalność — i mogąc wywoływać jedne z nich, czuje się bezsilnem w stosunku do innych. Co się tyczy zjawisk telepatycznych, to te są bardziej powszechne, jakkolwiek nie wszyscy do nich są uzdolnieni, a nawet ci, którzy ich doznają, podlegają im tylko w pewnych, niedających się oznaczyć warunkach, i to jedni częściej, drudzy tylko bardzo rzadko.

Jeden z apostołów spirytyzmu wygłosił zdanie, że uczony, który pragnie wytłómaczyć naukowo zjawiska spirytystyczne, powinien przedewszystkiem zapomnieć to, co wie. Znaczy to: powinien stać się dzieckiem naiwnem, prostakiem ograniczonym, dla których każda rzecz nowa i dla nich niezrozumiała jest dziwną i cudowną, tem cudowniejszą, im bardziej jest niedorzeczną.

Jakoż niepodobna odmówić temu zdaniu zupełnej słuszności. W istocie, potrzeba być bardzo naiwnym, że już nie powiem ograniczonym umysłowo, ażeby w wyliczonych powyżej zjawiskach spirytystycznych można było upatrywać coś tak dalece doniosłego, że nauka czułaby się zmuszoną ukorzyć przed nimi i wyrzec się prawd tylu ofiarami przez nią okupionych — prawd, na których cały gmach dzisiejszej wiedzy opiera się. Czem bowiem są wszystkie te zjawiska? Z wyjątkiem psychicznych, należących do tak zwanej telepatyi, które mają ścisły związek z życiem ludzkiem i nie są pozbawione pewnego uroku, — są one w ogóle faktami powszednimi, a nawet trywialnymi, nie mającemi najmniejszego znaczenia ani pod względem umysłowym, ani moralnym — faktami, które niczem się nie różnią od płaskich sztuczek jarmarcznych, a nie rzadko i od błazeńskich figlów, jakie wzajemnie płatają sobie dzieciaki! I w imię takich to faktów ma ludzkość zapierać się całej swej zdobyczy umysłowej, odstępować od zasad, którym zawdzięcza swe panowanie nad siłami przyrody, ma się poddać przewodnictwu tych, którzy, sami nie wiedząc, jak mają pojmować owe zjawiska, w tym samym czasie, kiedy w tych zjawiskach każą widzieć zapowiedź nowej ery — powszechnego braterstwa .— zachowują się względem siebie samych i reszty społeczeństwa z pogardą i nienawiścią, z jakimi tylko w najzagorzalszych sektach można się spotkać?!...

Spirytyzm przeciwstawia się wiedzy i religii, nazywając je pogardliwie urzędowymi. Pomijając zarzuty, jakieby można zrobić pod wielu względami dzisiejszej wiedzy, a szczególniej religii, która w suchym formalizmie coraz bardziej zatraca ożywczy pierwiastek — niepodobna nie widzieć w takiem przeciwstawieniu się spirytyzmu śmiesznej pretensyonalności, tem śmieszniejszej, że jest dziecinnie zuchwałą. Lat pięćdziesiąt dobiega, jak spirytyzm okazał się światu. I cóż on w ciągu tego czasu dokonał, coby choć w części usprawiedliwiało jego uroszczenia? Czy odniosła ludzkość jakikolwiek pożytek z niego, jeżeli nie pod względem praktycznym, to przynajmniej teoretycznym? Obracając się w zaklętem kole tych samych zjawisk, nie potrafił on dotąd wydobyć z nich ani jednej myśli nowej, ani jednej prawdy żywotnej, któraby zdolną była wywrzeć jakiś wpływ zbawienny na umysłowy rozwój ludzkości, wskazać jakieś wyższe, nieznane dotąd cele życiu ludzkiemu! Przypomnijmyż sobie teraz to wszystko, co w tym samym czasie dokazała wiedza ludzka, jak dalece rozszerzyła swój zakres, zbadawszy nieprzeniknione dotąd tajemnice przyrody i jej potężne siły oddawszy do użytku ludzkości; jak pod jej wpływem zmieniło się w krótkim przeciągu czasu całe oblicze ziemi, że nasi dziadowie, gdyby powstali z grobu, poznaćby jej nie mogli! Czy choć jeden cud spirytystyczny może się porównać z tymi cudami, jakich co dzień dokonywa przemysł ludzki, mając do pomocy nie duchy, nie siły nadziemskie, ale zwykłe narzędzia, podług praw mechaniki zbudowane, ale siły naturalne, poddane władzy ludzkiej dzięki postępom fizyki i chemii?!... Nie lepiej wychodzi spirytyzm i na porównaniu z religią. Wszystkie cuda spirytystyczne razem wzięte wyglądają w obec cudów, o jakich nam mówią legendy religijne, a nawet zwykłe opowiadania ludu wiejskiego, jako farsy dziecinne, mogące zadowolić płytką ciekawość, ale nie zdolne zaspokoić głębokich potrzeb serca i rozumu! Przeciwnie, obrażają one rozum i uczucie, nie tylko moralne, ale i estetyczne. Kazać

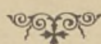
wielkim duchom Sokratesa, Napoleona itd. włazić w nogi stołowe i za ich pomocą dawać odpowiedzi na niedorzeczne pytania, albo też zmuszać duszę żyjącego człowieka do wychodzenia z ciała, jakby z pochwy jakiej, że użyję wyrażenia słowiańskiego i kazać jej popisywać się z różnymi hokus-pokus przed zagapionymi próżniakami — nie jestże to gwałcić najprostsze zasady zdrowego rozsądku, obracać w poniewierkę, co zasługuje na cześć i miłość, poniżać, co jest szczytne, zohydzać, co jest piękne! W istocie, potrzeba pewnego zwyrodnienia umysłowego, ażeby w dobrej wierze przyjmować wszystkie brednie spirytyzmu i żywić nadzieję, że z jego cudów, które są niezdarną parodyą wszelkiej cudowności, wybłyśnie kiedyś dla ludzkości nowa gwiazda betleemska! Jakoż jest to zagadka, niezmiernie trudna do rozwiązania, jakim sposobem tacy mężowie, jak Wallace, Crookes, i tylu innych, znanych światu z nauki i posiadających zmysł estetyczny wysoko rozwinięty, mogą brać czynny udział w spirytystycznej farsie. Zagadkę tę nie psychologia, ale chyba patologia zdoła rozwiązać. Pomiędzy chorobami duszy jest jedna zwana rozprzężeniem świadomości. Objawia się ona w różnych stopniach natężenia. Jednym z nich jest zdwojenie świadomości, polegające na tem, że ta sama jednostka w dwóch różnych chwilach różni się od siebie tak pod względem uczuć, jako też rozumowych swych zdolności. Takiem właśnie zdwojeniem świadomości daje się wytłómaczyć fakt, że ten sam człowiek w jednej chwili jest uczonym, ściśle trzymającym się faktów sprawdzonych, w drugiej fantastą, przyjmującym za prawdę, co żadnej krytyki nie wytrzymuje.

Jeden z naszych pisarzy, zajmujący poważne stanowisko w naszej literaturze, ale, jak mi się zdaje, ulegający w pewnym stopniu rozprzężeniu świadomości, nie zawahał się wygłosić zdania, że spirytyzm dowodzi w sposób niezaprzeczalny nieśmiertelności duszy. Otóż zdaje mi się, że z większą słusznością dałoby się powiedzieć, że on ją dowodzi do niedorzeczności, ośmiesza ją w oczach tych, którzy w nią wierzą!

Takie są uwagi, jakie się nastręczają przy rozważaniu zjawisk spirytystycznych, pojmowanych jako objaw nadprzyrodzonych sił. Naturalnie, że uwagi te, wypływające głównie z pobudek czysto podmiotowych, nie mogą służyć za podstawę do wydania ostatecznego wyroku o spirytyzmie. Wyrok ten musi się oprzeć na przedmiotowej ocenie zjawisk spirytystycznych, na zbadaniu, czem są one niezależnie od teoryi, z którą je siłą — mocą sprzągają.

Władysław Kozłowski.

(C. d. n.)



POWIEŚĆ.

Wędrówka do ideałów.

(Bajka wschodnia).

Na ubogiej, nieurodzajnej równinie, leżało stare ludne miasto. Słońce, wiszące nad głowami ludzi, paliło całą krainę, dobroczynny deszcz nie spadał, i mieszkańcy onego miasta chodzili smutni, pogrążeni w milczeniu. Równina ciągnęła się naokół bez końca, jednostajna i smutna, tylko od wschodu słońca, wdali ciągnęło się pasmo gór wysokich, których śnieżne szczyty tysiącem blasków jaśniały. Ale ludzie, pochyleni ku ziemi troską powszednią, nie podnosili oczu na padół spuszczonych, i blasków owych nie widzieli. Życie ich było, tak jak ich kraina, równe, smutne i jednostajne. Nikt nawet nie pomyślał, że mogłoby być inne....

Młody Hassan był także mieszkańcem owego miasta, ale nie był takim jak inni.

W dziecinnych latach usłyszał od wędrownego derwisza, że za śnieżnymi szczytami gór leży kraina piękna, prawdziwy raj ziemski. Mądry derwisz powiadał, że nikt owej krainy nie widział, bo nikt się nie mógł wedrzeć po stromym stoku gór na ich szczyty.

Opowieść ta głęboko zapadła w myśl młodzieńca i zapałał Hassan żądzą ujrzenia cudownej krainy. Siadywał po całych dniach przed swym domem, wpatrzony w jaśniejące na niebie śnieżne szczyty. Marzył o tem, że kiedyś tam się dostanie. Ale rozum mu powiadał, że on, mieszkaniec smutnej równiny, nie będzie umiał wedrzeć się tak wysoko po stromej skale.

I postanowił Hassan nauczyć się chodzenia po górach.

Nie było jednak w całej okolicy najmniejszego pagórka — jakże więc miał biedny Hassan nowej sztuki się nauczyć? Chodził

tedy smutny, ale myśl o dalekim celu nie opuszczała go nigdy.

I przyszedł czas, że się Allach nad nim zlitował.

Raz Hassan, idąc przez małe miasto, spotkał przekupnia, który dziwny przedmiot sprzedawał. Była to klatka okrągła niby wałek, a wniej siedziało zwierzątko z długim puszystym ogonkiem. Zwierzątko ciągle drapało się po szczeblach klatki pod górę, ale klatka się pod jego łapkami obracała, i gorliwie pracujące stworzenie stało ciągle na miejscu.

Hassan ofiarowanej zabawki nie kupił, ale na widok jej głęboko się zamyślił. Wkrótce opanowała go radość wielka, bo zrozumiał, że sporządziwszy sobie taką klatkę, nauczy się chodzić pod górę.

Po długich mozołach, napociwszy się wiele, zbudował wreszcie podobną klatkę. A zbudowawszy ją, zamknął się i po całych dniach kręcił się w niej, jak owo zwierzątko. Kiedy noc zapadła, znużony szedł na spoczynek, a nazajutrz pracę na nowo rozpoczynał.

I dziwili się wielce sąsiedzi, ale nie rozumieli celu młodzieńca.

Tak pracował młody Hassan przez lat kilka, aż zrozumiał, że przyszedł czas, kiedy może puścić się w drogę.

Przewiesił sakwy przez plecy, wziął kij w rękę i poszedł.

Przy końcu pierwszego dnia podróży wydało mu się, że nic się do swego celu nie przybliżył. Śnieżne szczyty były wciąż daleko, jaśniejąc po nad morzem obłoków. I szedł trzy razy po trzy dni, zanim znużony spostrzegł, że nazajutrz u stóp wielkiej góry stanie. Oddał się więc spoczynkowi pełen nadziei i nazajutrz wczesnym rankiem ruszył w drogę.

O południu stanął nareszcie przed celem swej podróży.

U stóp góry stał dom zajezdny, przed nim dwaj jacyś ludzie grali w kości, a nadobna młoda niewiasta wynosiła z domu jadło i napój, które przed graczami stawiała.

Jeden z nich, niski, gruby, z okrągłem rumianem obliczem, podobnem do zachodzącego słońca, spostrzegł zaraz Hassana i pozdrowiwszy go, zawołał:

— Młodzieńcze! dokąd Allach kieruje kroki twoje?

Hassan odpowiedział na pozdrowienie i wskazał palcem ku górze, której szczytu teraz wcale nie było widać.

Nieznajomy otworzył szeroko swe małe oczki, a potem roześmiał się wesoło i głośno, przy czem okrągły brzuch jego trząsł się potężnie.

— Nie żartuj, przyjacielu — powiedział — ale odpowiedz na moje pytanie.

Hassan skinieniem głowy potwierdził prawdę słów swoich.

Wtedy człowiek ów trwożnym głosem zapytał.

— A możeś ty szalony, przyjacielu?

— Niech mię Allach od tego zachowa — odpowiedział Hassan poważnie.

Nieznajomy rzucił kości, które trzymał był w ręce, i podszedł do Hassana.

— Przyjacielu, tobie ktoś zły wskazał drogę. Nie wierz mu... tylko szaleniec może się na tę górę drapać, tam nikt nie wejdzie.

Poklepawszy zaś Hassana po ramieniu, dodał:

— Wybij sobie odrazu te szaleństwa z głowy i siadaj z nami grać w kości. Podobałeś mi się bardzo, widzę, że będziemy mieli z ciebie dobrego towarzysza. Patrz, tu jest jadło i napój — mówił oblizując się — i spokojnie można grać sobie w kości. Gdy pójdziesz, rozbijesz głowę o skały, a skał głową nie przebijesz. Siadaj, przyjacielu, przy naszym stole!

Ale Hassan nie słuchał go i chciał iść dalej. Wtem niewiasta, która właśnie ukazała się przed domem z nowym dzbankiem napoju, zwróciła ku niemu płomienie swych sarnich oczu, i wyciągnąwszy białe ramiona, przemówiła:

— Piękny Hassanie, zostań z nami! Nie dopuść, żebym płakała, gdy twa gołębia krew skropi ostre skały.

— Skąd wiesz, że mi na imię Hassan? — zapytał młodzieniec.

— Tak jesteś miły, że nie możesz się inaczej nazywać — odpowiedziała niewiasta.

— Hassanowi zrobiło się ciepło w lewym boku, ale myśli swej nie porzucał.

Wtedy drugi gracz, chudy i kościsty, z brodą, która jak szczotka jeżyła się pod jego twarzą, poruszył siwymi krzaczastymi brwiami i utopiwszy w twarzy Hassana zimne, stalowe oczy, rzekł:

— Szalony młodzieńcze, jak śmiesz wyzywać niebiosa, jak możesz iść przeciw ich woli. Chcesz się piąć na górę, która wznosi się nad naszym domem. Czy nie rozumiesz, że gdy ty się będziesz tam drapał, nam kamienie będą się staczały na głowy. Jeżeli pójdziesz, przeklnę ciebie i twoje kości, które wkrótce rozsypią się po skałach....

Hassan patrzył nań przestraszony, gdy usłyszał za sobą wrzaskliwe głosy, wołające:

— Tak! tak!

Obejrzał się. Przed domem była gnijąca kałuża, po niej pływały żerujące kaczki i one to czyniły wrzask okropny, powtarzając ciągle:

— Tak, tak, tak!

Przerażony Hassan uciekł od tego wrzasku, ażeby nie cofnąć się z drogi. Za sobą ciągle słyszał jeszcze głos małego tłustego człowieka:

— Panie Hassanie, upamiętaj się, nie szukaj nieszczęścia! Głową muru nie przebijesz!

A gdy Hassan nie oglądał się, mały człowiek zawołał:

— Wrócisz, ptaszku, wrócisz! przyjdziesz do nas grać spokojnie w kości!

Hassan biegł ciągle ile mu sił starczyło, biegł, dopóki nie zatrzymał się u sterczącej przed nim ściany kamiennej. Wtedy nie tracąc czasu, począł drapać się pod górę, a skała była tak stroma, że rąk i nóg do tego używał. Chwilami zatrzymywał się, żeby złapać oddech, którego mu brakło, ale piął się ciągle. Po pewnym czasie zatrzymał się. Podniósł oczy — przed nim sterczała rosnąca w górę bez końca, stroma i ciemna ściana kamienna, a szczytu nie było widać. Wtedy obrócił się, aby spojrzeć nadół i przekonać się, jak wysoko jest nad równiną. Ale ledwie to uczynił, zakręciło mu się tak w głowie, że byłby spadł, gdyby się gałęzi jakiegoś krzewu nie był uczepił. Kiedy przyszedł do siebie, zdjął go strach okropny. Biedny Hassan zrozumiał, że niedość jest umieć piąć się pod górę, ale trzeba umieć z góry na dół patrzeć. Tego się nauczyć zapomniał!.... A kiedy spojrzał na słońce zbliżające się ku zachodowi, na myśl o ciemnościach nocnych i o swej samotności na stromej skale począł się trząść jak liść. I przypomniał sobie ów dom zajezdny i ludzi grających w kości, i niewiastę wyciągającą ku niemu swe białe ramiona.....

Słońce kończyło swą dzienną drogę, kiedy Hassan, zaniechawszy szalonego zamiaru, zbliżał się z powrotem do ludzi grających w kości. Na jego spotkanie wybiegł znów mały tłusty człowieczek:

— Drogi Hassanku! wołał — jakżeś rozsądny, jakżeś poczciwy. Siadaj, siadaj, posil swe ciało. Zanim godzina snu nadejdzie, zdążymy jeszcze pobawić się razem kośćmi. Kocham cię, zacny jesteś człowiek. Czy nie prawda, mój towarzyszu?

Ostatnie słowa zwrócił do chudego człowieka ze szczeciną na brodzie, który w odpowiedzi kiwnął głową, nie tracąc surowej powagi.

Hassan usiadł, jadł, pił, grał w kości, a potem usnął u boku niewiasty, która chłodziła głowę jego liściem palmowym.....

I usnął po raz ostatni, jako piękny Hassan, bo gdy się obudził, spostrzegł, że pływa po kałuży i że jest.. kaczką.

Dowiedział się od swych nowych towarzyszek, że taki los spotyka wszystkich podróżnych, co w domu zajezdnym nocują.

I żył Hassan jako kaczka. Nie było mu źle, bo kałuża była obszerna i pełno w niej było ślimaków oraz wszelkiego robactwa.

Kiedy przed zajazdem stawał nowy podróżny, Hassan słyszał rozmowę jego z dwoma graczami, tłustym i chudym, oraz z piękną niewiastą. Czasami rozmowa ta była podobna do tej, którą on z graczami był prowadził. Wtedy kaczka-Hassan krzyczała wespół z towarzyszkami:

— Tak, tak, tak!

Raz kaczka — Hassan, pijąc wodę, podniosła dziób do góry i wtedy ujrzała orła szybującego pod obłokami. Później zauważyła, że orły gnieżdżą się wysoko na krawędziach skał i wtedy zrozumiała, jaki los spotyka podróżnych, którzy się w domu zajezdnym nie zatrzymują, zrozumiała, że stają się orłami. Nie zazdrościła im jednak, bo kałuża była obszerna i nie brakło w niej robactwa.

Ale zdarzyło się raz, że kaczka połknęła ślimaka z twardą skorupą i zrozumiała, że koniec jej się zbliża, wtedy poczuła, że zamało dotąd rozważała swe życie i zaczęła się nad wszystkiem z kolei zastanawiać. I wydało jej się, że może lepiej jest być orłem niż kaczką.

W tej właśnie chwili ukazał się nowy podróżny, podobny zupełnie do dawnego Has-

sana i mówiący tymi samymi słowy. Usłyszał też te same słowa tłustego i chudego człowieka. Wtedy biedna kaczka-Hassan zachciała słowom graczów zaprzeczyć Zebrała wszystkie siły, otworzyła dziób i... wydając resztę tchu, zawołała:

— Tak, tak!

R. Skrzycki.



Przedostatnie posługi.

Szkic od ręki.

— Mamo! — odezwała się ledwie dosłyszanym głosem dziewczyna 19-letnia z posłania, na którem niejedną już widać przeleżała dobę.

— A co, dziecko moje?

— Mnie pali tak w piersiach, jak gdyby mi kto żaru do środka nasypał.

— Złoto ty moje, cóż ja ci poradzę!

A doktór, mamo, czy przyjdzie?

— Przyjdzie, dońko moja, przyjdzie; już a mu progi obiłam, dziś pewno nie zapomni, przyrzekł.

— Chce się też kumie z doktorami wdawać i pieniądze tracić napróżno — wtrąciła kobieta w dużym czepcu, o zżółkłej i pomarszczonej jak stary pargamin twarzy; nie lepiej te słuchać Tomaszowej?

— Tać i Tomaszowa darmo nie kuruje.

— To co inszego. Tomaszowa bierze same głupstwo, co jej dają, aby tylko coś wziąść, bo inaczej nie może. Leki, widzicie, nie są skuteczne za daremniaka.

Słuchająca z niedowierzaniem pokręciła głową.

W tej chwili, gdy kumoszka domawiała słów usprawiedliwiających Tomaszową, w izdebce pojawił się doktór.

Przeciwniczka medyków, strapiona tem nieco, wysunęła się ostrożnie za drzwi, mrucząc coś niezrozumiałego pod nosem. Doktór przystąpił do chorej, wziął za puls, następnie osłuchał piersi, spytał o niektóre objawy choroby i zapisawszy receptę, zabierał się do wyjścia.

— Panie konsyliarzu — zaczęła błagająco matka — ratuj ją, jeśli Boga kochasz ulituj się nademną nieszczęśliwą, do śmierci modlić sią będę za pana.

— Moi drodzy — odparł obojętnie doktór, gdy już byli w sieni — cudów robić nie jestem w możności...

— O! Boże wszechmogący — jęknęła matka — więc ona żyć nie będzie?! Panie konsyliarzu, czy to być może, czyż już niema żadnego ratunku?..

— Ja go przynajmniej nie widzę, dla spokoju chorej odwiedzę ją jeszcze za dni parę, jeśli...

Matka zaczęła szlochać ukrywszy twarz w dłonie; doktor oddalił się spiesznie, nie mając widocznie czasu do stracenia

Kumoszka, którą chęć dowiedzenia się o wyroku, jaki wydał doktór, paliła jak rozpalone żelazo, znalazła się niebawem w sieni.

— No jakże?...

Nie było odpowiedzi.

— Cóż doktór powiedział? — powtórzyła niecierpliwie kuma.

Zapytana zdała się nie słyszeć.

— W takim razie niema co zwłóczyć — bełkotała dalej usłużna przyjaciółka — kiedy już ciału nic pomódz nie sposób, o duszy choć nie zapominajcie.

— Co wy mówicie?

— A no, wiadomo, kiedy już nie tego, to trzeba po księdza...

— Doktór — jęknęła boleśnie matka — Boże! za co mnie tak karzesz!

— Cóż począć, kumo kochana, to boleśnie, pewno bardzo boleśnie, ale kiedy już taka wola wszechmogącego...

— A może — i w oczach pełnych łez błysnął ogień nadziemskiego szczęścia.

— To zawsze ksiądz nie zaszkodzi.

Ksiądz — jęknęła matka — tak, pewno, powtórzyła machinalnie — nie zaszkodzi.

— No nie płaczcie — rzekła kumoszka — lepiej idźcie do księdza a potem po lekarstwo, ja popilnuję waszej dziewczyny tymczasem.

— Bóg wam zapłać, kumo.

— E, głupstwo, idźcie a nie marudźcie.

Na wieść o rychłej śmierci chorej wszystkie kumoszki, ile ich było w kamienicy, zbiegły się do ciasnej izdebki pod różnymi pozorami. Jedne pocieszać matkę, inne z radami dla córki, a jeszcze inne z misyą religijną.

— Co te doktory wiedzą — szeptała stolarka do lokajowej — *mój* rok temu, jak był zasłabł, to powiedzieli, że i tygodnia nie pociągnie, a on więcej jak bez cztery niedziele jeszcze żył.

— To się wi, że oni tyle wiedzą co nic — odparła lokajowa. Na mój głupi rozum, to u niej też ani suchoty, ani co, jeno kołtun, a od kułtuna wiadomo: barwinku na głowę i wszystko.

— Prawdę mówicie — wtrąciła trzecia; żeby mnie byli słuchali a od razu wzięli się do dziewczyny ostro, to by i była zdrowa; ale jak położyli do łóżka, jak zaczęli i poić a chuchać a dmuchać, tak i zgłumili dziewczynę. Każdemu przecie wiadomo, że kiedy kto nie chce wstać, to niech się jeno rozleży.

Na rozprawy te chora nie zdaje się zwracać uwagi. Otworzy tylko od czasu do czasu dziwnie błyszczące oczy, zakaszle, westchnie ciężko i znów zapada w półsenność.

Kumoszki zaczynają się naradzać, co teraz robić im wypada.

— Przyjdzie ksiądz z olejami — mówi jedna — a ona niemyta, tak przecie być nie może.

— To się wie — podchwytuje druga, obmyć ją trzeba i to zaraz.

— Możeby zaczekać na matkę — wtrąca inna.

— Co tu czekać, niema co czekać, woda jest, więcej nic nie trzeba, matka może przyjść z księdzem, a wtedy będzie za późno.

— Ono to prawda, tylko widzicie, że woda niegrzana — podchwytuje inna.

— A to dopiero, jeszcze grzać wodę. Także wymysły, niby to zimna woda zaszkodziła komu.

Rozpoczyna się obmywanie, chora się broni, jak może, prośbami i łzami; ale usłużne przyjaciółki zapewniają ją tylko, że tak potrzeba, że tego wymaga kościół i własne ich sumienie, które im uległość nakazuje.

Chora nic z tego wszystkiego nie rozumie; widzi to tylko, iż prośby jej na nic się nie zdadzą. Milczy więc lub jęczy, gdy jej siły na to pozwalają.

Ukończywszy operacyę, przyjaciółki czują się wielce zadowolone. Spełniły obowiązek.

Zaczynają się opowiadania rozmaitych ciekawych i zabawnych wydarzeń, które koniec końcem uwieńczyła śmierć.

Wreszcie wchodzi ksiądz, kumoszki zrywają się ze stołków, całują ręce lub rękawy czarnej sutanny i jedna za drugą wynoszą się z izdebki.

Chora otwiera znów oczy, w których na widok nowo przybyłego przestrach się maluje — konwulsyjnym ruchem rąk zdaje się odpędzać spowiednika.

Zwiastun lepszej przyszłości nie zwraca na to uwagi, zbliża się do łóżka, spokojnym i suchym głosem rozpoczyna swoje zadanie. Mówi o życiu wiecznem, o pojednaniu z Bogiem, o stanie łaski i niełaski.

Chora drży, oczy jej napełniają się łzami, kaszel coraz silniej męczyć ją zaczyna

— Mamo — szepcze nieszczęśliwa — więc ja muszę umierać — mamo!...

Głos dziecka nie dochodzi do uszu matki, ta bowiem wraz z innymi usunęła się z mieszkania.

Ksiądz przypomina jej obowiązki chrześcianki.

Chora milczy, na zapytanie kapłana rozstrząsającego sumienie grzesznicy, odpowiada z trudnością. Ceremonia skończona.

Izdebka znowu zaczyna się napełniać; tylko tym razem żadna kumoszka nie przychodzi już z próżnymi rękami. Gromnice, woda święcona, książki z modlitwami przy konających, wszystko mają z sobą.

Rozpoczyna się czytanie półgłosem, monotonne.

Chora, pomimo znużenia, nie może usnąć.

— Mamo — rzecze ledwie dosłyszalnym głosem — czego one tu chcą, mnie światło razi, mnie ich głos męczy.

— Przestańcie — mówi matka do kumoszek — ona uśnie może.

— Czy kuma masz źle w głowie, czy co — odzywa się jedna z wymowniejszych, chcesz ją na potępienie skazać? Widzisz przecie, kona, już my znamy to spanie.

Matka łkać zaczyna.

— Ot, dajcie wy już lepiej pokój — ciągnie dalej kumoszka — zostawcie nam tę sprawę; już my jej tak na tamten świat nie puścimy, jak jakiego zwierzęcia. My ją po chrześciańsku przeprowadzim, jak się należy.

— Czytaj kumo, co to słuchać — odzywa się druga; wiadomo, matka w takich razach głowę traci.

Monotonne czytanie rozpoczyna się na nowo.

Chora chce odkaszlnąć, flegma ją dusi, rzężenie w gardle, rękami wskazuje, by ją podjęto, by jej podnieść się pomogli.

— Kona! — krzyczy jedna z obecnych — pani Marcinowo, gromnicę prędzej. Gromnicę zapaloną daj jej do ręki, a wy Józefowo kropnijcie ją wodą, wodą święconą.

Kumoszki spełniają polecenie w jednej chwili.

Chora, odkaszlnąwszy, upuszcza z rąk gromnicę, za którą uchwyciła, by się podnieść trochę, i jęczy boleśnie.

— Mamo! mamo! ulituj się nademną, czego one mnie męczą, ja nie chcę umrzeć, ja nie umrę: mamo, nieprawdaż? Pan Bóg litościwy zmiłuje się nad biedną...

Matka chce jej przyjść z pomocą, przyjaciółki zagradzają drogę.

— Dajcie pokój, mówię wam kumo, jeśli wam dusza dziecka miła.

Podawanie gromnicy do ręki chorej powtarza się bez końca, gdyż ona co chwila upuszcza ją na ziemię.

— Skropcie no ją jeszcze wodą święconą — rozkazuje jedna z obecnych, gdy zmęczona tymi praktykami dziewczyna zacisnęła konwulsyjnie pięście, nie dając sobie w nie wstawić zapalonej świecy.

Pani Józefowa spełniła polecenie.

Chora drgnęła, otworzyła oczy szeroko, chciała coś powiedzieć, ale jej w gardle słowa zagrzęzły.

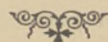
— Zły duch cię napastuje — zaczęła do konającej usłużna bigotka — zły duch, skoro gromnicy nie chcesz konając. Cóż ty myślisz sobie nieszczęsna, minuty twoje policzone, doktór powiedział, że za chwilę już będzie po tobie, a ty zamiast się modlić, zamiast przepraszać wszystkich, to chimery tu jakieś pokazujesz.

— Nie gniewajcie się — jęknęła konająca nie gnie,.. waj... cie się — wy na m... n .. ie nie... nieszczęsną, ratujcie, o Boże!... mamo! ma... mo...!

Zaczęła drżeć jak w febrze, świecę, włożoną jej przemocą prawie, ścisnęła konwulsyjnie, jak gdyby to narzędzie udręczeń i mąk swoich wyrwać z rąk kobiet chciała, otworzyła jeszcze raz oczy, lecz już niewrażliwe ani na ciemnotę ludzką, ani światłość bijącą z gromnicy, która w zastygłem jej ręku świeciła niby.., pochodnia męczeńska.

— Chwała Bogu — zawołały kumoszki chórem — umarła jak chrześcianka — zbawiona!

K.—n.



PRZEGLĄD LITERACKI.

Kazimierz Gliński — Poezye — Warszawa 1893.

Do jednej z wybitniejszych postaci w współczesnym Parnasie polskim należy bezsprzecznie utalentowany ulubieniec Muz, Kazimierz Gliński.

Chcąc w krótkich słowach określić rodzaj jego twórczości, uznać go potrzeba za romantyka w znaczeniu współczesnem, albowiem jest on przedewszystkiem poetą wyobraźni, i jako u takiego nie spotykamy w jego utworach ani filozoficznych, ani psychologicznych zagłębień, rozumowań lub zestawień, gdyż prawie wyłącznie jest on poetą-malarzem, a obrazy swe poetyckie ozdabia całym zapasem barw rozmaitych odcieni, upiększa całą tonacyą dźwięków rytmicznych, świadczących, jak ważną rolę w twórczości jego odgrywa wyobraźnia i niewstrzymany niczem zapał poetycki.

Z tej właściwości Glińskiego rodzą się zalety, a także i usterki, widoczne w niedawno wyszłym tomiku »Poezyj«. — W utworach erotycznych jest on znakomitym, tak pod względem doskonałości formy, jak i pod względem artystycznego nagromadzenia harmonijnej skali dźwięków i barw, będących cechą jego utworów. Pomiędzy erotykami kładę główny nacisk na »Wiośnianki«.

Miłość, odtworzona w tych utworach, razi nieraz może zbyt wyłącznie zmysłowym kolorytem, ale uznać potrzeba, że nieporównanym jest tu poeta w owem przysłanianiu kobiet, jak gdyby na pół przejrzystą tkanką różową.

Nieporównanym jest w swem uwielbieniu miłości, która dlań nie jest tylko roztkliwioną i czułą kapłanką, ale także boginią rozkoszy, żądną życia, szału i uciechy.

Do ukochanej odzywa się poeta w drugiej »Wiośniance« tymi słowy.

Spocznij na mem ramieniu,
Na pół w blasku, pół w cieniu —

Tylko lekko niech trąca
Zadumany z niebiosów
Blady promień miesiąca
O pierścienie twych włosów.
Zresztą — ja mu pozwolę,
Gdy zapragnie goręcej,
Złożyć całus na czole,
Muskać skronie — cóż więcej?....
Ust twych pragnie?... Daremnie!...
Zazdrość budzi się we mnie.

Jeśli padnie na ramię,
Światło cieniem przełamię;
Jeśli lekka osłona
Wdzięki twoje kryjąca,
Do twych piersi, do łona,
Blask przepuści miesiąca —
To własnemi ramiony
Od natręta uchronię,
Zerwę zdradne osłony,
Precz muśliny rozgonię,
Usta, piersi i szyję
Własnem ciałem okryję.
. . . .

Podałem ten urywek »wyiskrzony blaskami poetyckiego natchnienia«, jak się wyraził jeden z krytyków warszawskich, aby wykazać istotne cechy »Wiośnianek« — nic przeto dziwnego, że poeta po heinowsku niemal odzywa się do lubej:

Może tobie strach kary,
O której dziś z ambony
Mówił proboszcz nam stary?....
Ach! nie jestem skruszony. —

Z tego, co przytoczyłem, nie wynika jednak, jakoby Gliński był bezwzględnym wielbicielem zmysłowej strony miłości.

Przyjrzyjmy się bowiem innym wierszykom, np. »Do M.«... lub »Pamiętaj o mnie«.

Poeta zachwyca się wdziękami swego ideału, przyznaje, że ukochana jest królową balu, porównuje ją z Madonną, widząc ją zatopioną w modlitwie — najsilniejsze jednak uczucie budzi się w nim w chwili, gdy obserwuje ją stojącą we drzwiach nędzy, ocierającą łzy sieroce: od tej chwili, woła poeta, »Zostałaś moją — na wieczność«.

Nie zawsze też spogląda poeta na kobiety przez szkiełka zachwytu, nieraz mówi im prawdę (Na balu), lub wytyka błędy w sposób ironiczny (Do pięknej Pani), zawsze jednak czyni to w sposób grzeczny, w formie wymuskanej niemal.

Zatrzymałem się tak długo nad Glińskim jako erotycznym poetą, albowiem ten zakres najbardziej odpowiada jego twórczości i jest jednem z charakterystycznych znamion jego utworów. Drugą charakterystyczną cechą poety jest smutek, powlekający gdyby lekką gazą wszystkie jego poezye. U wstępu do »Poezyj« zapowiada poeta:

Śmiech i łzy niosę — małą cząstkę siebie,
Śmiechu tu więcej, choć łez więcej ściekło,
Jak Dant przedtem przez niebo i piekło —
Tylkom wędrówki nie skończył na niebie.

W ustępie tym nie zupełnie szczerym jest poeta, albowiem prawie w każdym utworze jego, odsłaniającym uczucia indywidualne, odczuć się daje mniej lub bardziej wyraźny smutek; nieraz przyznaje poeta wprost, że dla niego chwile zachwytów i szczęścia minęły bezpowrotnie, że świat snów, świat miłości, nigdy się już nie wróci, że szczęście to błędny ognik — a nawet popada w tak głębokie zniechęcenie i zwątpienie, że pragnie śmierci, albowiem ta przywiedzie ze sobą »noc.... ciszę.... sen wieczny«. (Sen i śmierć).

Prócz utworów erotycznych, znajdujemy w tomiku »Poezyj« Bajki i utwory o treści społecznej. Tak pierwsze jak i drugie zaliczyć wypada do słabszych utworów Glińskiego.

Bajki, jak wiadomo, należą do trudnego rodzaju poezyi, wymagającego bardziej ciętego pióra, jak poetycznego talentu. Gliński nie jest ciętym satyrykiem, dlatego też »Bajki« jego (noszące na sobie znamię pesymizmu jak i inne utwory), grzeszą brakiem tej zwięzłości, która sprawia, że umysł czytającego niemal natychmiast przyswaja sobie ich treść i formę. Dość często spotykamy się »w Bajkach« z obrobieniem tej samej myśli, lubo w zmienionej formie (But, Jedność i zero, Młot i kowadło) a nawet czasami humor, na który się sili autor, zmienia się niemal w trywialność (Pan Jaksa). Co do ballad, to tych, w właściwem tego słowa znaczeniu, znajdujemy niewiele — a skromna ich liczba, prócz »Ballady w nowym stylu« nie przedstawia wielkiej wartości.

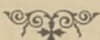
To samo rzecby można o utworach, których podkładem jest idea społeczna. Wprawdzie porusza autor kwestye dość wielkiej

wagi (Nie tak, nie tam), współczuje z nędzą i wydaje sąd sprawiedliwy o zbrodni zrodzonej przez tę straszną potęgę, i zasady swe ubiera w kunsztowną formę, ale oryginalnym w tym kierunku nie jest, przypomina bowiem o wiele silniejszą pod tym względem Konopnicką i wielu innych.

Na zakończenie dodać wypada, że widocznym jest jeszcze w utworach poety wpływ potężnego geniuszem tryumwiratu, Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, pomimo tego jednak nie traci Gliński wiele na oryginalności, albowiem posiada rzetelny talent ujawniający się na zewnątrz w doskonałej formie, a charakteryzujący się w bujnej fantazyi i smutku owiewającym dziwnym urokiem jego utwory.

Te dane zmuszają do uznania w osobie Glińskiego, nietylko nieposledniego dramaturga, ale i utalentowanego poety.

Zdzisław.



ECHA POLSKIE.

Lemberger Ausstellung!

Ze też nie może być w naszej w Polsce żadnej uroczystej chwili bez zgrzytu, żadnego wspólnego chóru odradzającego się narodu bez rozdźwięku! Stary gród Lwa zaprasza całą Polskę na wspólną uroczystość pracy, a potrafiono nawet takiem braterskiem zaproszeniem głęboko zranić tych, do których je wystosowano. Prosimy przeczytać *w Nowej Reformie* skargę Slązaków z Raciborza za przysłane im przez komitet Wystawy plakaty *niemieckie*: »Niemcy śmieją się, a myśmy zupełnie upadli na duchu«. Że pan Kościelski wita polską Wystawę *mit Wunsche auf ferneres* i t. d. jak może każdy przeczytać w naszych dziennikach, to rzecz zupełnie czarno-biała, zupełnie w porządku, — ale że Wystawa Kościuszkowska zaprasza Polaków tym samym ślicznym językiem, niby jakieś Krakowskie *Wettrennen Gesellschaft* (po polsku: towarzystwo wyścigowe) — tegośmy się nie spodziewali. Wolimy przypuszczać, że spedytor komitetu zna się na geografii jak koza na pieprzu i że mu ks. Adam natychmiast kupi podręcznik ludoznawstwa i każe co rychlej poprawić omyłkę.

* * *

Fiat voluntas tua.

Stało się zadość woli O. Vanutellego. Po niejakiem wahaniu, natchniona przez jemu podobnych encyklika powtarza się w zaborze Rosyjskim we wszystkich katolickich — może nawet w prawosławnych dziennikach, i ogólny *Prawosławny* hymn pochwały wita te, jak pisze *Nowoje Wremia*, ustępstwo Papieża dla Rosyi. Na wiecu zaś, także katolickim, w Poznaniu tryumfujące — ale już nie prawosławne, a niby polskie głosy wychwalają tego, który nam każe być posłusznymi lutrom, »przy których stoimy i stać chcemy!« I niech teraz mówią o fanatyzmie klerykalnym, o rzymskiej nietolerancyi. Czyż nie zachwycająca taka łaska Stolicy Apostolskiej dla ewangielików i dla greko-rosyan — prawda, że dla tych tylko, którzy rozporządzają milionami sołdatów i tysiącami armat? Przyłączmy się najchętniej do ogólnego chóru, a sądzimy, że *Hałyczanin* jeszcze szczerzej do niego się przyłączy; czy kościół na tem zyska, tego nie wiemy, ale zyska z pewnością posłuszeństwo Głowie kościoła — *fiat voluntas tua!*

* * *

Ciasnota pojęć.

Wiadomą od dawna jest rzeczą, że z wyjątkiem bardzo nielicznej garstki ogół nie interesuje się u nas ani ruchem umysłowym ani społecznym na arenie wszechświatowej. Zadowalniamy się telegramami w dziennikach o zjazdach socyalnej demokracyi, o uchwałach rozmaitych kongresów, no i o... bombach anarchistów.

Jakie jednak są podstawy tego ruchu, jakie cele, idee przewodnie, co w nich złego a co może ma słuszność za sobą, jakie wreszcie są różnice pomiędzy rozmaitymi kierunkami ruchu, tego nikt nawet nie stara się zbadać.

Pod tym względem pomięszanie pojęć i nieznajomość rzeczy panuje wszechwładnie. Co krok słyszymy i czytamy brednie i nonsensy, wywołujące rumieniec wstydu na twarzy, że ludzie wykształceni mówić a pisma drukować coś podobnego mogą.

Lecz, jak się dziwić przeciętnym śmiertelnikom lub też dorywczo składanym dziennikom, że piszą brednie, skoro to samo czynią ludzie stojący urzędownie na świeczniku naszej nauki. Przy sposobności wykażemy, jakie zdania świadczące o kompletnej nieznajomości rzeczy mieszczą się w głośnej swego czasu książce prezesa krakowskiej Akademii Umiejętności hr. St. Tarnowskiego p. t. »Z doświadczeń i rozmyślań«.

Teraz proszę posłuchać, co przed kilku dniami wypowiedział publicznie przy zagajeniu wiecu katolickiego w Poznaniu obecny naczelnik drugiej instytucyi naukowej prof. dr. Wicherkiewicz, wiceprezes Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu.

Oto jego słowa:

»Grozi naszemu porządkowi społecznemu inne, jeszcze większe niebezpieczeństwo. Stronnictwo socyalistyczne zakłóca spokój publiczny. Socyalizm opiera się, tak samo, jak anarchia czyli bezrząd, na ateizmie. Podkopuje on wszelką powagę, przeczy nawet prawom Boga i nie uznaje własności prywatnej — ażeby zaś urzeczywistnić cel, organizuje walkę różnych warstw pomiędzy sobą. Prądy materyalistyczne przytłumiły głos Ewangelii św. Głos ten na szczęście budzi się napowrót, widzimy to w ruchu objawiającym się na całej linii świata katolickiego, ruch, który też miejmy nadzieję, nie da się już niczem powstrzymać. Od wyniku tej walki chrześciaństwa z socyalizmem zależy przyszłość naszych pokoleń. A czyż dla nas ta przyszłość ma być obojętną? Nie Bracia! Kto ma oczy ku widzeniu i uszy ku słyszeniu, nie może nie poznać tego ścierania się ducha złego z duchem dobrym, nie może odczuwać tej walki, która od czasu do czasu w świecie przybiera groźne objawy i powoduje pospolite ruszenie ludzi porządku.

To też i my nie chcemy stać na uboczu, nie chcemy być niem»mi widzami walki innych za te same skarby, jakie nam są drogie, ale przyłożyć winniśmy sami rękę do zwalczania hydry... nowoczesnej, zrodzonej z niewiary i samowoli. Stańmy się jednością i zgodą silni, potężni, byśmy jak Herkules ową bajeczną hydrę lernejską zabiwszy, przywalił ciężką skałą, zwalczyli i skałą mądrości, cierpliwości i wytrwałości, polecanych nam przez wielkiej pamięci Piusa IX., przywalili tę naszą stokroć od tamtej strasznieiszą hydrę socyalną, która i naszemu społeczeństwu już nie jedną zadała ranę«.

Niech sobie prof. Wicherkiewicz zwalcza hydrę, ale niech nie kompromituje nauki polskiej taką ignoracyą.

Dla prezesa komitetu wiecu *katolickiego* nie zawadziłoby wiedzieć przynajmniej o encyklice Leona XIII. *Novarum rerum*. Możeby się dowiedział z niej, czy socyalizm opiera się na ateizmie, możeby się dowiedział, czy socyalizm jest w przeciwieństwie z chrześcianizmem. Zestawienie socyalizmu z anarchią, i twierdzenie, że socyalizm organizuje walkę warstw między sobą — wszystko to są kwiatki, zdobiące za nadto pięknie mowę prof. Wicherkiewicza, ażebyśmy je chcieli po kolei zrywać bezlitosnie. Niech służą dalej ku ozdobie... nauki.

* * *

A propos otwarcia wystawy.

O otwarciu wystawy nie mamy co się rozpisywać, bo już wszystko aż nadto dobrze znane. Uroczystość odbyła się poważnie, wypadła dobrze, pogoda dopisała.

Jest jednak *ale*, na które trzeba zwrócić uwagę. Życzymy gorąco i szczerze wystawie powodzenia, dumni jesteśmy z tego dzieła narodowego, dla tego pragnęlibyśmy, aby pewne braki usunięto. Tym brakiem przy otwarciu było zamknięcie wystawy dla *ogółu*. Uroczystość nie była uroczystością narodową, powszechną, lecz raczej, że się tak wyrazimy — mundurowo-kontuszową. Bilet wstępu kosztował 3 zł.; sprzedano ich też wcale nie wiele a na placu wystawy było aż nadto przestronnie. Wszędzie mundury i kontusze, a gdzie ten naród cały? Dla czego nie umożliwiono udziału szerokim masom? Inaczejby to wyglądało i okrzyków by nie zbrakło i rozgrzaćby się było można.

Tak samo zdziwił nas brak robotników wystawowych. Na pół godziny przed otwarciem rzesza 2.000 robotników w zwartym szeregu opuszczała z powodu święta tylną bramę wystawy. Gdyby tak stanęli całą falangą, od fontanny począwszy, ze swymi rydlami, toporami, piłami itp. — czyż nie dodałoby to uroku samemu obrazowi? Czyż zresztą spółpracownicy dzieła nie powinni byli na równi z dyrekcyą i zarządem cieszyć się jego dokonaniem i brać udziału w uroczystości otwarcia?

Na zakończenie mała uwaga: Wedle zaproszeń i ogłoszeń jedni mają wchodzić bramą *A.*, drudzy bramą *B.*, to znowu zgromadzić się w tym lub owym pawilonie. Dobrze to, kiedy ani na bramie, ani na pawilonie nie ma napisu. Czy każdy ma znać topografię placu wystawy na pamięć?

* * *

Kłopoty z pomnikami.

Cisza co do losów pomnika Mickiewicza przerwaną została nareszcie urzędowym komunikatem komitetu, podanym do wiadomości publicznej.

Dowiadujemy się, że figura Mickiewicza nareszcie jest w Krakowie i że p Rygier prosił komitet o zwłokę do końca października b. r. celem wykończenia pomnika Ostatnia grupa »Nauka« jest wykonana już w gipsie, a odlanie jej w bronzie potrwa do października.

Komitet postanowił przychylić się do prośby p. Rygiera a zarazem wyznaczyć termin do odsłonięcia pomnika. Podobno mówiono już nawet o terminie na d. 28. listopada b. r.

Obawiamy się, żeby ta uchwała nie była przedwczesną. P. Rygier kontraktem obowiązał się wykonać pomnik w przeciągu lat 4. t. j. do d. 20. listopada 1893. Terminu tego nie dotrzymał i przekracza go o rok. W tym stanie rzeczy nie można być pewnym, czy i nowy termin zostanie dotrzymany, lub czy może znowu kto nie zasekwestruje jakiej figury, jak to już we Włoszech miało miejsce. Opinia publiczna dość już ma zawodów z tą całą sprawą — lepiej może nie obiecywać za wiele.

Lwowskie »Koło literackie« także polegało na przyrzeczeniu prof. Marconiego, który jeszcze *przed rokiem* miał wykonać pomnik Aleksandra hr Fredry. Na podstawie tego przyrzeczenia zapowiedziano uroczyste odsłonięcie pomnika podczas tegorocznego zjazdu literackiego. Tymczasem pan Marconi zaczął odkładać termin wykończenia pomnika, nareszcie zjazd ma się odbyć za miesiąc, a o pomniku jeszcze ani słychu.

Tak samo i lwowskie towarzystwo ku upiększeniu miasta zapowiedziało całą »seryę« pomników na otwarcie wystawy, a teraz sprawa ucichła.

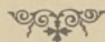
Widocznie więc nie mamy szczęścia do pomników. Zaczekajmy, aż artyści nauczą się słowności, a komitety energii.

* * *

Zawsze to samo.

W dniu otwarcia wystawy losy zapędziły mnie przed jeden c. k. pawilon. Stał tam wspaniały pan w mundurze, z blizną na twarzy a długiem cygarem w ustach, i rozprawiał coś szeroko i długo licznemu gronu mundurowych panów, którzy go słuchali z widoczną uwagą i uszanowaniem. Całe grono weszło następnie za owym dygnitarzem do pawilonu. Zaciekawiony wszedłem tam także i wraz z p. prezydentem dyrekcyi skarbowej (bo tym właśnie był ów dygnitnrz) podziwiałem istotnie pięknie urządzoną wystawę naszych salin i tytoniu. Lecz podziw skończył się rychło. Dygnitarz opuścił pawilon a w tej chwili posłyszałem donośny rozkaz innego (zdaje się mniejszego) dygnitarza: *Also schnell, schliessen Sie die Cassa!* Rozkaz był skierowany do damy sprzedającej c. k. cygara w tym pawilonie.

A więc zawsze to samo?! Na polskiej wystawie, na polskiej ziemi, pod rządami polskiego dygnitarza tak samo, jak przed 40 laty, niemczyzna kładzie swą wszechwładną rękę — nawet na sprzedaż cygar z Winnik czy Monasterzysk! Kiedyż to się skończy? Kiedyż się poczujemy nareszcie u siebie?



KORESPONDENCYA.

Warszawa 24. maja 1884.

(X. Y). Niejednokrotnie już podnoszono szkodliwość korespondencyi z zaboru rosyjskiego, zawierających zmyślone, lub złośliwie fałszowane wiadomości. Korespondencye te, *a pośrednio organy, które je zamieszczają,* tracą zupełnie zaufanie u obcych i swoich, a czytelnicy najprawdziwszym informacyom przestają wierzyć. W pewnych zaś okolicznościach kłamliwe wieści wyrządzają bezpośrednią szkodę osobom i sprawie publicznej.

Taki charakter nosiło kilka korespondencyi „Gazety Narodowej", a w ostatnich czasach korespondencye do Nowej Reformy pod-

*

pisane Sław. Zamieszczona w Nrze 110 korespondencya zawiera cały szereg zmyślonych, lub przekręconych faktów i widocznych nonsensów, świadczących, że autor nie ma pojęcia o tem, o czem pisze (na pogrzebie nie było żadnej awantury. minister spraw wewnętrznych nazywa się Durnowo, a Nieporoźniecow jest zwyczajnym urzędnikiem, bzdurstwa o archiwum i t. d). Niczem są jednak te fałsze wobec występnej plotki, bo takiej lekkomyślnosci inaczej nazwać nie można. — o podziale aresztowanych na kategorye według nie mającej za grosz sensu kwalifikacyi, wysłaniu najbardziej winnych do Petropawłowska (?!) i wobec *wymienienia kilku nazwisk studentów*, których władza uważa jakoby za głównych organizatorów manifestacyi kwietniowej i poprzednich.

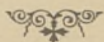
Otóż wiedzieć należy, że:

1) Wyroków dotychczas niema (24 Maja) a najwyższa proponowana kara nie przekracza 6 miesięcy.

2) Wymienionych osób (n. b. jedno nazwisko widocznie przekręcone, drugie nosi aresztowany technik, nie zaś student, trzecie wprawdzie student, ale nie medyk,) władza, prowadząca śledztwo, wcale o organizowanie manifestacyi nie oskarża i nie wyróżnia, chociaż po tego rodzaju kopespondencyi *w Nowej Reformie* mogłaby to zrobić.

Lekkomyślny korespondent może, jak to już nieraz bywało, podać potem inne sfałszowane wiadomości, które jednak już po służą za wskazówkę do oskarżenia. Ażeby to uprzedzić, w intencyi rodzin i przyjaciół osób aresztowanych, prosimy Redakcye wszystkich pism polskich, o ostrożne podawanie i ścisłe sprawdzanie wiadomości o danej sprawie.

Trzeba rzecz nazwać po imieniu: korespondenci rozpuszczający tego rodzaju fałsze, popełniają nikczemność, żadne więc uczciwe pismo niu powinno jej tolerować.



Otrzymujemy z Budyszyna następujące pismo, które podajemy czytelnikom zachęcając do szczerego poparcia usiłowań naszych pobratymców:

Braterska prośba.

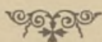
Nasz serbskołużycki naród jest najmniejszym słowiańskim ludem a też w ogóle jednym z najmniejszych ludów w Europie. — W liczbie niedochodzącej 200,000 ludzi, mieszkamy w starych siedzibach ojców naszych nad górnym biegiem Szprewji, w Saksonji oraz w Prusach, w obwodzie Lignickim i Franfurckim. Z wszystkich stron otoczeni jesteśmy przemożnym żywiołem niemieckim, jak wyspa oblana falami Oceanu. — Mimo to przecież staramy się zachować przekazaną przez przodków naszych narodową spuściznę, naszą ukochaną mowę serbskołużycką, nasz stary domowy obyczaj. Ogniskiem naszych usiłowań około oświaty i piśmiennictwa w języku ojczystym jest założone w r. 1847 przez Jana Ernesta Smolera a w ostatnich czasach kierowane przez ks. Michała Hórnika Towarzystwo Macicy Serbskiej. Za trzy lata święcić będziemy półwiekowy jubileusz tegoż Towarzystwa, którego nasz nieodżałowany zmarły w roku bieżącym Michał Hórnik niedoczekał, jak swego czasu Mojżesz niedożył wejścia ludu swego do ziemi obiecanej. Spodziewany jubileusz pragniemy obchodzić w własnym domu, do budowy którego zamierzamy w roku bieżącym przystąpić. Dom ten będzie przytułkiem naszych ideałów. W nim zawarte będą biblioteka, muzeum starożytności. sala zebrań, koncertów i przedstawień amatorsko-teatralnych. Ale lud nasz jest nieliczny i niezamożny. Mamy wiele dobrej woli lecz środków mało. Więc udajemy się o bratnię pomoc do pobratymczego polskiego społeczeństwa, o poparcie naszych usiłowań przez pieniężne ofiary. Kto najmniej 200 marek albo 100 rubli da, stanie się założycielem serbskołużyckiego domu, kto przynajmniej 2000 marek lub 1000 rubli da, stanie się dobrodziejem narodu serbskiego, i honorowym członkiem Macicy serbskiej. Ich imiona będą co 3. rok wymienione na generalnem zebraniu Macicy serbskiej.

Dom budować chcemy w Budyszynie, (po niemiecku Bautzen) w tem samem mieście, gdzie niegdyś przed wiekami król Bolesław Chrobry panował i zaszczytny pokój zawierał z cesarzem Henrykiem II. Mamy nadzieję w szlachetnem, zawsze humanitarnem sercu polskich braci, że prośba nasza zostanie wysłuchaną i usiłowania nasze poparte będą czynem i pomocą. Główny adres dla listów i przesyłek pieniężnych jest: profesor dr. *Ernest Muka*, w Freiberku, (po niemiecku Dr. *Ernst Muka*, Gymnasial-Ober-

lehrer in Freiberg in Sachsen) lub ks. *Jakób Skala*, proboszcz w Budyszynie. (po niemiecku: *Jakub Skala*, katholischer Pfarrer in Bautzen in Sachsen). Dołączamy również arkusze na łaskawe zbieranie składek w kołach przyjaciół i znajomych

Budyszyn, 15. maja 1894.

W imieniu Towarzystwa Macicy Serbskiej: *Ks.* Dr. *Karol Kalich*, proboszcz superior św. Michała w Budyszynie, prezes Towarzystwa Macicy Serbskiej. *Ks. Jerzy Łuszczański*, prałat kapituły Budyszyńskiej, wiceprezes Towarzystwa Macicy Serbskiej. *Ks. Jakób Skala*, proboszcz Panny Maryi w Budyszynie i sekretarz Macicy Serbskiej. *Jan Bartko*, emeryt, przewodniczący komitetu budowy. Dr. *Ernest Muka*, profesor gimnazyalny w Ereiberku, sekretarz tegoż komitetu. *Alfons J. Parczewski*, honorowy członek Macicy Serbskiej, delegat komitetu budowy.



ROZMAITOŚCI.

Anglik o Banku ziemskim w Poznaniu. Do *Kraju* piszą z Poznania: W Bordeaux we Francyi odbył się niedawno kongres banków ludowych, na którym zdawał sprawę ze studyów swych zagranicznych na tem polu niejaki pan Henryk Wolff, Anglik. Wydał on teraz sprawozdanie swe w osobnej broszurze p. t. »Les Banques Populaires au point de vue coopératif. Conference faite au IV. congres des Banques populaires françaises, tenu à Bordeax en 1894, par H. Wolff. Bordeaux, imprimerie de G. Delmas. 1894«.

Ten p. Wolff bawił w Poznaniu podczas kongresu polskich prawników i ekonomistów, a mianowicie studyował bardzo gruntownie sprawy naszych instytucyj parcelacyjnych tak dalece, że jeździł oglądać na miejscu nowopowstałe osady, mianowicie też osady górnoszlązaków. Wdzięczność mu się należy za to, że wrażeń swych udzielił francuskiemu światu ekonomistów, a zapewne to samo zrobi w Anglii Wrażenia te są, jak się zdaje, najlepsze, albowiem uczony turysta i badacz stosunków ekonomicznych posuwa swą sympatyę tak daleko, że Francuzom radzi, żeby gotówkę swą lokowali w akcyach banku ziemskiego. O ileż chętniej my sami z tej wskazówki Anglika skorzystać powinniśmy.

Ustęp broszury jego, odnoszący się do stosunków poznańskich, brzmi dosłownie jak następuje: »Obecnie pragnę pomówić o małej sieci instytucyj kooperacyjnych, prawdopodobnie mało znanych we Francyi, które jednak panów mogą zainteresować Znalazłem je w Polsce pod panowaniem pruskiem, gdzie działają znakomicie, dzięki po największej części energii i ofiarności duchownych katolickich, towarzyszy, a zarazem wsrółzawodników naszego znakomitego a wielebnego ks. de Besse. Miałem doskonałą sposobność do obserwowania Polaków, jako przedstawicieli pracy zbiorowej, i ekonomistów; albowiem przez dni 10 zatrzymałem się w Poznaniu, a tam właśnie odbywał się pierwszy kongres ekonomistów polskich ze wszystkich części Polski. Polacy zdają się mieć naturalny pociąg do pracy zbiorowej. W Galicyi istnieje wielka liczba stowarzyszeń rolniczo-spożywczych, które rolnikom po cenach umiarkowanych dostarczają potrzeb rolniczych. Posiadają Polacy i banki ludowe, a mianowicie w Poznańskiem znajdujemy całą sieć tych instytucyj, mających swe centrum w Śremie i swego przodownika w osobie wielebnego ks. Wawrzyniaka. System ten obejmuje obecnie 75 banków. Stowarzyszenia te spólnemi siłami założyły własny bank centralny: Bank związku spółek zarobkowych w Poznaniu, którego dyrektorem jest dr. Kusztelan, mąż bardzo kompetentny. Interesy robią się tam liczne i gładko. Prócz tego muszę wspomnieć o kilku stowarzyszeniach kooperacyjnych, które powstały w celu uchronienia Polaków od wynarodowienia, podjętego w Berlinie pod płaszczykiem ekonomicznym. Za pomocą państwa popiera się systematycznie rozwój małej własności. Kupuje się wielkie własności i dzieli się takowe między drobnych właścicieli. Od czasów reform Stema i Hordenberga nie było lepszego dzieła. Ale czemuż zasadniczo wyklucza się od tego dobrodziejstwa włościan polskich, nawet, wedle świadectwa niemieckich rządców, doskonałych uprawiaczy ziemi? Więc dziwić się nie można, że Polacy, opierając się o swe własne a drobne siły, które zebrali w celu energicznej pracy zbiorowej, stanęli naprzeciwko temu przedsiębiorstwu, dając rodakom swym możność zdobywania drobnych własności tym samym sposobem. Pod przewodnictwem ludzi kompetentnych, jak hr. Żółtowski, dr. Kalkstein i Łyskowski, stworzyli oni stowarzyszenie, które małym rolnikom polskim te same świadczy usługi, jak rządowy fundusz 100-milionowy Niemcom. Utworzył się w tym celu bank ziemski, posiadający 1,500.000 fr. kapitału i Spółka ziemska Widziałem instytucye te zbliska. Niestety, brak pieniędzy. Bank ziemski podnosi swój kapitał zakładowy do wysokości 2,500.000 fr. A jeżeli we Francyi macie zbytek pieniędzy, otóż nadarza się sposobność zużycia zbytku na dobry cel, zapewniający dywidendy, a zaskarbiający serdeczną wdzięczność.

O wystawie naszej prasa wiedeńska wyrsża się nader pochlebnie, a szczególnie: *Neue Fr. Presse*, *Presse*, *Fremdenblatt*, *N. W. Tag-*

blatt Szepsa i *Weltblatt.* Umieszczają one olbrzymie artykuły, fejletony i telegramy o naszej wystawie, a w nadeszłych dziś numerach wyrażają się z entuzyazmem o panoramie racławickiej, którą tak świetnie wykonali Kossak, Styka, Popiel, Boller, Axentowicz, Rozwadowski, Wodzinowski i Tetmajer.

Doroczny salon polski we Lwowie. *N. Ref.* pisze: »Podczas otwarcia wystawy sztuki, która, nawiasem mówiąc, jest prawdziwą niespodzianką, jaką krajowi zrobili polscy artyści, powstała myśl — jak nam donoszą ze Lwowa — urządzenia dorocznego salonu polskiego w pałacu sztuki we Lwowie. Pałac ten po skończeniu wystawy ofiarowuje dyrekcya gminie m. Lwowa. Powszechne stowarzyszenie artystów w Krakowie poczyni odpowiednie kroki także u gminy m. Lwowa, jak i u rządu i władz autonomicznych, aby tę myśl urzeczywistnić. W ten sposób pchnie się niewątpliwie sztukę polską naprzód, nic bowiem nie kształci tak artystów, jak peryodyczne wystawy zbiorowe, gdzie każdy z nich od razu ocenić potrafi, co mu brakuje«.

Czytamy w *Kurycrze Lwowskim* ciekawą korespondencyę następującą:

(Z.) **Wiedeń** 8. czerwca. Prasa tutejsza, a jeszcze więcej prasa zagraniczna żywo zajmuje się wypadkami, jakie w ostatnich dniach prawie bezpośrednio po sobie wydarzyły się w Serbii, Bułgaryi i na Węgrzech, Chociaż prasa urzędowa Rosyi, Austryi i Niemiec głosi, że wypadki te są czysto lokalne i że nie wpływają na stosunki międzynarodowe, to przecież nie brak i takich głosów poważnych, które w tych wypadkach widzą pewien związek, widzą skutki jakichś tajnych układów dyplomatycznych między trzema mocarstwami. Rzecz dziwna, że równocześnie z tymi wypadkami znów coś przebąkiwują »o rozgraniczeniu sfer« między Rosyą a Austryą na półwyspie bałkańskim.

Jak wiadomo to »rozgraniczenie« propaguje Rosja od ostatniej wojny turecko-rosyjskiej, od r. 1877, a polega ono na tem, że Austryi miałyby przypaść na półwyspie bałkańskim, Bośnia, Hercegowina, okręg Nowobazarski i Soluń (salonicki) wraz z dominującym wpływem w Serbii, podczas gdy Rosyi miałby być przyznany wpływ nieograniczony na Bułgaryę a zarazem wolność zrobienia na Turcyi łupów w Europie i Azyi. Idea »rozgraniczenia sfer« między Rosyą a Austryą znalazła silne poparcie w Berlinie, długo jednak opierała się Austrya. Zawarte jednak w ostatnim czasie traktaty handlowe między Rosyą a Austro-Węgrami świadczą, że nietylko na polu ekonomicznem trójcesarskie przymierze zostało odnowione, ale że nastąpiło także równocześnie jakieś tajne porozumienie i na polu politycznem. Faktycznie »rozgraniczenie wpływów« w ostatnich dniach prawie w oczach naszych się dokonywa. W Serbii zapomocą zamachu stanu usunięto stronnictwo radykalne, żywiące sympatye dla Rosyi i przywrócono tam rządy Milana oddanego zupełnie Austryi. W Bułgaryi znów, która przez 8 lat prowadziła politykę narodową, a zatem antimoskiewską były oberleitnant austryacki, ks. Koburg, za pomocą innego rodzaju rewolucyi usunął największego patryotę bułgarskiego i najzaciętszego wroga Moskwy Stambułowa, a równocześnie w sferach dyplomatycznych utrzymują, że między Moskwą a księciem Koburgiem została zawarta konwencya wojskowa.

Konwencya taka, jak wiadomo, zasadza się na tem, że wojsku jednego państwa dozwolony jest przemarsz przez terytoryum państwa drugiego i na odwrót; *dalej że w razie wojny armie obu państw konwencą związanych, wspólnie działają.* Gdyby faktycznie taka konwencya między Rosyą a Bułgaryą istniała, to wówczas mogłaby ona być zawartą tylko za cenę uznania ks. Koburga legalnym księciem Bułgaryi, przyznanie jakichś terytoryalnych zdobyczy dla Bułgarji w Macedonii po rozbiciu Turcyi a wreszcie przyznanie udzielności Bułgaryi, któraby odtąd została pod wpływem Moskwy. Do takiej akcyi politycznej, do której współdziałanie Austro-Węgier jest koniecznem, potrzeba także choćby pozornej aprobaty parlamentów austryackiego i węgierskiego.

Trudniejsza rzecz jednak z parlamentem węgierskim. Tam sobkowstwo indywidnów jeszcze nie zdołało stłumić poczucia narodowego, tam wyborcy kontrolują ściśle swych posłów, a posłowie rząd. Dla tego tam ani dzień nie może się utrzymać rząd bez większości parlamentarnej. *Sprowadzenie takich samych stosunków parlamentarnych na Węgrzech jakie są w Ausryi, to jest dążeniem inicyatorów obecnego przesilenia na Węgrzech.* Do zamierzonej — jak prasa zagraniczna, szczególnie niemiecka twiedzi — polityki wschodniej któraby u ludu węgierskiego nie była popularną trzeba dostrajać parlament węgierski, ministerstwo węgierskie. Mininisterstwo, na którego czele stał »mieszczanin« dr. Wekerle, takiej polityki prowadzić nie mogło. Natomiast ministerstwo z hrabią Khuenem, a zatem z magnatem na czele, nie tyle na usposobienie ludu oglądać się potrzebowało. Naród węgierski jednak jest niesłychanie czujny i nie łatwo da sobie grać na nosie. Dlatego to wypadkom na Węgrzech świat deplomatyczny przypisuje ogromne znaczenie, wychodzące po za ramy polityki, że tak bowiem lokalnej, a osądza wypadki na Węgrzech w związku z traktatem handlowym między Rosyą a Austryą, z zamachem stanu w Serbii i z upadkiem wroga Rosyi w Bułgaryi, ministra Stambułowa.

Profesor Quidde w Niemczech wywołał całą burzę rozprawą historyczną o rzymskim cesarzu, okrutniki i waryacie Caliguli, w której upatrzono alluzye do Wilhelma II. skonfiskowano przedruki w gazetach, prześladowano a na reszcie bawarska Akademia umiejętności udzieliła Quiddemu naganę, *za nadużycie wiedzy.* Wkrótce nie można będzie ani o złodziejach, ani o nierogaciznie pisać z obawy procesu politycznego.

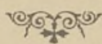
W Cieszynie utworzył się komitet, który zajmie się urządzeniem wycieczki polskiej ze Śląska na wystawę we Lwowie. Na czele komitetu stanęli posłowie sejmowi.

Komitet wejdzie w styczność z komitetem wystawy i będzie się starał o to, aby biorący udział w wycieczce jak najtaniej odbyć mogli podróż i znaleźli we Lwowie pomieszczenie.

Termin wyjazdu z Cieszyna ustanowiono na sobotę dnia 11 sierpnia o godzinie 10 przed południem, przyczem projektowany jest krótki pobyt w Krakowie i zwiedzenie nowego teatru. Koszta jazdy koleją tam i napowrót, według dotychczasowych informacyj, nie będą wynonad 5 zł.

Ludność Warszawy według spisu dokonanego w początku b. r., wynosiła ogółem 515.654 głów, w tejże liczbie wojska 37.332 ludzi. Według wyznań ma Warszawa 302.294 katolików, 177.727 żydów, 18.981 prawosławnych, 16.033 protestantów. 216 mahometan, 209 ormian, 107 starowierców, 10 karaimów.

Zmarli. Księżna *Marcelina* z Radziwiłłów *Czartoryska*, znana jako uczennica Chopin'a zmarła w Krakowie w 77 roku życia 6. czerwca b. r. Była to jedna z wybitniejszych kobiecych postaci emigracyi 1831 roku, i odznaczała się wielu przymiotami, uznanemi przez wszystkie stronni twa.



BIBLIOGRAFIA.

3,765.702 analfabetów -- Szląsk, Galicya, W. Ks. Krakowskie p. Michała Danielaka. Wydawnictwo Towarzystwa »Szkoły Ludowej«. Broszurka ta, zawierająca 36 stronnic, bita jest podobno w 50.000 egzemplarzy i zawiera pouczające tablice statystyczne, zestawienia i porównania. W samą porą podczas uroczystości wystawowych pojawia się ona ze swym jaskrawym tytułem, wskazując ogrom pracy, jaka pozostaje jeszcze do wykonania w najważniejszej dziedzinie. Rzecz jest napisana z zapałem i znajomością rzeczy. Bardzo ją polecamy każdemu do przeczytania. Otwiera ona oczy na nizki poziom oświaty naszej w Galicyi, na olbrzymią działalność »Maticy Czeskiej« i »Schulvereinu« a nie mniej na możliwą przyszłą działalność »Szkoły ludowej«. Szczególnie powinniśmy wziąć do serca rozdział o podatkach narodowych czeskich, stosując rozumie się główną myśl ofiarności narodowej do naszych potrzeb i zadań. Nie mamy możności tym razem wdawać się w szczegółowy jej rozbiór.

Władysław Osmólski. Sądy pokoju, kilka słów w sprawie gwałtownej potrzeby zaprowadzenia w kraju naszym tej instytucyi. Cena 1. korona. Dochód przeznaczony na fundusz imienia Kościuszki. Lwów 1794. Nie wchodząc *in merito* tej broszurki zauważymy w niej brak porównania przyszłej możliwej działalności instytucyi sądów pokoju w Galicyi z kilkunastoletnim dorobkiem doświadczeń jej w sąsiednim zaborze rosyjskim. Nie ma też słówka o tem, jak sądy pokoju sprawiają się w krajach anglo-saskich, gdzie przecie jest ich kolebka. Przytem wiele jest przytoczeń i ustępów poetycznych i filozoficznych; w trzeźwej zaś dziedzinie prawa tylko do pewnego stopnia można sobie pozwolić na coś podobnego.

Wydawnictwo materyałów do historyi powstania 1863/64, wydało świeżo tom IV., zawierający: *a)* Memorjał Włodzimierza Milowicza, *b)* Pamiętnik z czasów młodości, *c)* Rządy generała Romualda Traugutta. Poprzednio wydane tomy zawierają: Tom I.: Rzut oka na r. 1863/4, jako słowo wstępne. Zbiór manifestów, adresów, odezw i najważniejszych dokumentów. Litwa przed r. 1863. Dzieje delegacyi warszawskiej, przez Agatona Gillera. Siły wojskowe Moskwy w Polsce w czasie powstania 1863/4. Tom II.: Udział Galicyi w powstaniu 1863/4, przez pułk. Strusia. Notatki osobiste Wł. Bentkowskiego. Z pamiętników Br. Deskura. Wspomnienia moje z r. 1863, przez Sewerynę Duchińską. Tom III.: Zarys czynności organizacyjnych w Galicyi zachodniej — 321 dokumentów z czasów objętych datami od 1. listopada 1862 do 10. listopada 1864 r.

Katalog powszschnaj wystawy krajowej we Lwowie r. 1894. Część pierwsza, wstępna zawiera na 54 stronach nadzwyczaj cenne wskazówki i cyfry, dotyczące Galicyi. Mamy tu więc nasamprzód obraz kraju (granice, opis topograficzny, geotektoniczny i hydrograficzny), dalej obraz ludności, a mianowicie statystykę zaludnienia i wzrostu ludności, gęstości zaludnienia według powiatów, dalej szczegółową statystykę ludności miast, podział ludności według płci, wyznań, języka towarzyskiego (nadzwyczaj ciekawe dane zwłaszcza o stosunku narodowości polskiej i ruskiej), statystyczne cyfry ilustrujące stan oświaty (73 prc. analfabetów!), podział ludności według zawodów i zatrudnień (prawie $4/^1_2$ milj. ludności zajętej przy rolnictwie, leśnictwie i żyjącej z roli i 495.954 robotników »ze zmiennem zajęciem«, ile jest razem proletarjatu?) i t. d. Dalej idzie rozdział o siłach produkcyjnych kraju, co nie oznacza sił robotniczych, jakby z tytułu sądzić można, ale wyliczenie naturalnych bogactw kraju (sól, kainit, węgiel kamienny, żelazo, ołów, cynk, siarka, wosk ziemny, nafta) i głównych gałęzi przemysłu przetwórczego, co do których podane są cyfry dość szczegółowe. Obrazu tego dopełnia szczegółowa statystyka rolnictwa z dodaną tabliczką przecięcia zasiewów i zbiorów od roku 1882 do 1892.

Druga część katalogu obejmuje »Wykaz wystawców i przedmiotów wystawionych«. Przedmioty te, rozdzielone na 34 grup, już w obecnym, tymczasowym katalogu wykazują przeszło 2000 firm reprezentowanych na wystawie. Ogrom przedmiotów wystawowych mieści się w 129

pawilonach, a nadto mnóstwo ich leży pod gołem niebem.

Komitet pospieszył z wydaniem katalogu tego na sam początek Wystawy i to bardzo mu się chwali.

Niezadługo także pewnie ukażą się przewodniki i katalogi w języku niemieckim i ruskim. Obecnie wydany katalog zawiera wiele ilustracyi i wcale dobrze się przedstawia i jest przygotowawczym do tak zwanego po francusku Cathalogue raisonè, katalogu rozumowanego, który ujrzy światło dziennie po Wystawie i zawierać będzie dzieje rozumowane poszczególnych działów Wystawy. Będzie on stanowił najcenniejszy materyał do historyi rozwoju ekonomicznego Galicyi.

Jednodniówka. Dochód przeznaczony na budowę gmachu „Sokoła" w Jaśle. Nakładem i drukiem L. D. w Jaśle 1894.
Pod tym tytułem wyszła książeczka o 32 str. druku świadczące korzystnie o ruchu umysłowym w Jaśle. Prowincyonalne miasta milczą z reguły tak straszliwie, że wszelki objaw budzącego się życia tylko radością napełnić nas może. Pod tym względem Jasło wyprzedza inne większe miasta galicyjskie, wiemy o tem z licznych korespondencyi i sprawozdań.

Oczywista — do książeczki mającej tytuł „Jednodniówka" i zawierającej przeważnie utwory poetyckie nie możemy przykładać surowej miary krytycznej. „Jednodniówka" jest próbą wspólnej pracy i jako taka zasługuje na podniesienie.

Wierszyk wstępny „Łączmy się do wspólnej pracy" i milutki czterowiersz na karcie tytułowej, świadczą o tem, jakie myśli przewodnie kierowały twórcami wydawnictwa.

Czterowiersz tytułowy powtarzamy dla zachęty do poparcia jednodniówki.

Brzmi on:

Żegluj śmiało nasz Sokole
Po nad ciche Jasło,
Targaj więzy, krusz niewolę,
Nieś wolności hasło!

Cena 20 ct., dochód na budowę gmachu dla „Sokoła" w Jaśle.

Ekonomisty polskiego, miesięcznika wychodzącego we Lwowie rok V. wyszedł zeszyt (za maj) i zawiera:

1. Dr. Franciszek Stefczyk: Handlowa działalność Kółek rolniczych (dokończenie).

2. Stefan Komornicki: Ludność polska w Prusach Zachodnich. — Przyczynek do obliczeń narodowościowych.

3. Polskie Towarzystwo handlowo-geograficzne.

4. Kronika: Na otwarcie Wystawy krajowej. — Zjazdy w czasie Wystawy. — Nadzwyczajny zjazd prawników i ekonomistów polskich. — Sprawa trąktatów handlowych z Rosyą i Rumunią. — Wyniki zbiorów zboża w Austryi i i Galicyi w r. 1893. — Projekta monopolu zbożowego. — Towarzystwo rolnicze krakowskie. — Bank krajowy galicyjski. — Gal. Kasa oszczędności. — III. Walne zgromadzenie gal. Tow. handlowego. —Sprawy kolei lokalnych. — Ruch na kolejach państwowych. — Zawiadomienia Dyrekcyi kolei państwowych.

„Przegląd Poznański" rozwija się stale bardzo interesująco.

Cięte uwagi p. Sulli p. t. »Na wyłomie« starają się rozruszać społeczeństwo poznańskie.

W odcinku skończyła się nowela Żeromskiego p. t. Dr Piotr a w dalszym ciagu drukuje się bardzo ciekawe studyum p. Snitki p. t. »Nowocześni pogromcy narodu polskiego i jego przeszłości w literaturze historycznej«.

Stale pojawiają się korespondencye z Krakowa i przegląd prasy słowiańskiej.

Z ostatnich numerów zasługuje na uwagę: Nowy narodnik w literaturze rosyjskiej p. Styczyńskiego, Kwestya damska I. Rastawicy, Pochód kapitału P. Krańczewskiego, Viribus unitis p. Bojana — Reforma ustawy prasowej w Austryi K. Bartoszewicza. — Polska w ciągu bieżącego stulecia p. J. Moszczeńską.

»Przegląd poznański« zasługuje na szczere poparcie.



Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: **Hipolit Śliwiński.**